MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 32. WARSZAWA, 24 LIPCA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

O ZAGADNIENIACH GOSPODARCZYCH USTROJU

DZISIEJSZA publicystyka zagraniczna i polska szafuje hojnie takiemi określeniami, jak „ustrój kapitalistyczny", „kryzys strukturalny" albo „konjunkturalny", „ustrój syndykalistyczny", ale czytując w dziennikach wywody, obficie przyozdobione temi słowy, nie ma się wrażenia, iż autorzy przeważnie rozumieją ich znaczenie. Pisanie to nie zdaje się też, aby często posuwało naprzód rozumienie spraw gospodarczych, gdyż nie często jest wyrazem wysiłku umysłowego także ze strony autora: takim pięknym zwrotem jak „kryzys strukturalny" można niby parawanem zasłonić całkowitą ignorancję i mglistość swojej myśli. Dlatego wydaje mi się, że aktualne jest w publicystyce sprowadzanie dyskusji do pojęć jasnych oraz związanie zagadnień gospodarczych z ogólnemi, co do których poglądy są bardziej ustalone. Jest to wskazane również i z tej przyczyny, że taka mgiełka frazeologiczna ułatwia pod flagą dźwięcznych a niezrozumiałych terminów przemycanie rozmaitych idej, których wprost niktby nie ośmielił się szerzyć. Nic łatwiejszego naprzykład jak napadając na niepopularny „ustrój kapitalistyczny" robić to w taki sposób, że w gruncie rzeczy podkopuje się zaufanie do instytucji własności prywatnej i przygotowuje teren dla propagandy komunistycznej. Albo — jak czyni to systematycznie prasa obozu rządzącego — przekonywać o błogosławionych skutkach etatyzmu, „gospodarczego" parlamentu i syndykalizmu, powtarzać w nieskończoność frazes o kryzysie strukturalnym bez bliższych wyjaśnień, w tym jedynie celu, aby uzasadnić wobec opinji publicznej i wybielić swoje metody rządzenia, aby utopić wśród tych teoryj błędy swojej polityki gospodarczej oraz szukać sankcji dla środków, stosowanych w imię niczego więcej—tylko utrzymania się przy władzy.

Przy rozważaniu zasadniczych podstaw ustroju gospodarczego nie należy zapominać o tem, co się sądzi o podstawach ogólnych współczesnego organizmu narodów naszej cywilizacji; gospodarcza strona struktury nie może odbiec daleko i pozostanie tylko ważna konsekwencją, w pewnym stopniu od siebie także na całość oddziaływającą. Wiadomo, że stosunku jednostki do zbiorowości nie rozumie kierunek narodowy jako przeciwstawienia. Wiadomo, że cywilizacja rzymsko-katolicka, że kościół i prawo, kształtując narody europejskie, wychowały jednostkę do współdziałania społecznego, że wytworzyły mocną indywidualność, której nie osłabiają jej pozytywne społeczne instynkty, ale przeciwnie wzmacniają ją, stają się jej własną indywidualną treścią, tak że duchowa całość zbiorowa żyje w jednostkach i wzbogaca się ich duchowym rozwojem. W rezultacie, potwierdzającym słuszność narodowego poglądu, niema przeciwieństwa pomiędzy siłą więzi społecznej, a siłą żyjących w niej indywidualności, ale przeciwnie pogłębiający się i wzmacniający się naród wzmaga twórczość, siłę, charaktery jednostek. I wreszcie konsekwencją tego poglądu, który przytem ma charakter realistyczny i uwzględnia oczywistość życia, jest widzenie konkretnego wnętrza budowy społecznej, w której pomiędzy całością a jednostką są stopnie pośrednie ciaśniejszych związków oraz instynkty do nich się odnoszące, pośrednio wzmacniające całość narodową i ważne dla jej istnienia. Jest to łatwe w swojej schematyczności, ale tembardziej fałszywe i prowadzące do błędów, gdy się rozumie życie ludzkie jako dwa elementy tylko: jednostkę i ogół, co w konsekwencji doprowadza do abstrakcyjnego operowania w rozumowaniu jakby dwiema cyfrowemi pozycjami, które można sumować i odejmować, zestawiać w równania i przeciwstawiać. Do

tego doprowadziło właśnie rozumowanie materjalistów, którzy za punkt wyjścia wzięli wyabstrahowaną, „gospodarczą“ jednostkę oraz dzielące ludzi interesy gospodarcze. — Owe stopnie pośrednie pomiędzy jednostką a narodem, jako całością zbiorową zasadniczą, to są, jak wiadomo, przywiązania i ambicje („patrjotyzmy“) dzielnicowe, regjonalne, lokalne (szczególnie silne obecnie w większych miastach), a dalej związki i ambicje zawodów i zrzeszeń najróżniejszego rodzaju, będące czemś więcej, niż poczuciem wspólności interesu materjalnego, ale wyrazem istnienia więzi kategorji wyższej i wszechstronniejszej, poczuciem honoru i solidarności zrzeszeniowej. I wreszcie istnieje jeden związek społeczny, stary jak historja ludzkiego rodu, który nie pozwala mówić o jednostce egoistycznej i odosobnionej, jako o zasadniczym elemencie społeczeństwa, a mianowicie rodzina. Związek rodzinny wpływa niesłychanie głęboko i istotnie na życie społeczne. Będąc wychowawczynią charakterów, budzicielką instynktów, motywów wewnętrznego przymusu, późniejszych sił kierowniczych życia, jest rodzina zarazem terenem wypowiadania się uczuć oraz instynktów najbardziej przeciwnych i dalekich od indywidualnego egoizmu, jak macierzyńskie i ojcowskie, synowskie czy braterskie. I dalej związek rodzinny, przez pamięć przodków i myśl o dzieciach, wiąże jednostkę pośredniemi oraz bezpośredniemi węzłami z ciągłością życia narodowego, ustawia człowieka w szeregu pokoleń, robi zeń dziedzica i każe troskać się o przyszłość, nie ograniczoną tylko do krótkiego okresu własnego doczesnego żywota. Uświadomienie sobie tego oczywistego, realnego i znanego obrazu wewnętrznego życia społeczeństwa odsłania nam fałsz i absurdalność tezy o egoizmie gospodarczym jako naczelnym motywie postępowania ludzkiego — ani chwili nie mogłoby istnieć żadne społeczeństwo, gdyby tak było naprawdę! Nietylko przez przymus państwowy i nietylko przez instynkt narodowy oraz ogólne nakazy wewnętrzne, ale na wielu szczeblach życia i przez wiele innych instynktów, uczuć, skłonności, ambicyj, interesy materjalne człowieka ulegają podporządkowaniu, komplikacji i osłabieniu, co wszystko musi być przez naukę o zjawiskach gospodarczych wzięte pod uwagę.

Znaczenie związku rodzinnego, na które zwrócono uwagę, prowadzi do rozważań na temat ustroju własności, któryby, wypływając z ducha cywilizacji, ułatwiał najpomyślniejsze gromadzenie potrzebnego dla rozwoju narodowego, materjalnego bogactwa. Jest faktem, że pod nakazem wewnętrznego przymusu poświęca człowiek życie dla Ojczyzny i prawdą jest również, że głównym motywem zapobiegliwości i pracy gospodarczej, pracy, w której chodzi o zaopatrzenie się w środki materjalne, jest interes osobisty albo rodzinny człowieka. W pierwszym wypadku, człowiek może i wyrozumuje sobie, iż potrzeba wojenna leży w gruncie także w jego osobistym interesie, ale bezpośrednim motywem będzie wewnętrzny przymus patryjotyzmu, instynkt miłości ojczyzny oraz męskiego honoru. W drugim wypadku pracy gospodarczej, na dalszych planach leżeć będą cele jej i znaczenia ogólniejsze, lecz bezpośrednim motywem najpowszechniejszym i zasadniczym będzie dobrobyt osobisty albo rodzinny, dążenie do poprawy położenia, konieczność wychowania dzieci, chęć pozostawienia im w spadku trwałych wartości materjalnych. Każdy wie, jak potężną i imponującą siłą jest np. dążenie chłopa do posiadania własnego kawałka ziemi, albo do jakich poświęceń zdolni są rodzice, chcący dać wykształcenie dzieciom. Z tych wszystkich przyczyn ustrój własności prywatnej, traktowany przedewszystkiem jako uzupełnienie gospodarcze instytucji rodziny oraz połączony z polityką czynienia „właścicielami“, choćby w najskromniejszym zakresie, możliwie najliczniejszych warstw wydaje się być najwłaściwszym dla współczesnego narodu naszej cywilizacji. Tworzy on zapobiegliwości gospodarczej ramy podwójnie odpowiednie: z jednej strony bowiem ujmuje materjalną dziedzinę życia od strony — jeśli tak powiedzieć można — najmniej materjalistycznej, nieegoistycznej i niehedonistycznej, wiążac ją z instytucją rodziny oraz podporządkowując jej celom. Z drugiej strony dodaje zabiegom gospodarczym ciągłości, odwraca od zysków doraźnych i korzyści nietrwałych, a natomiast skłania ku tworzeniu z myślą o dalszej przyszłości, skoro chodzi o dobrobyt nietylko własny, ale rodu. I wreszcie tradycyjna instytucja własności prywatnej, podporządkowanej dobru publicznemu, odpowiada najlepiej zasadniczej strukturze współczesnego narodu europejskiego, posiadającego jednostkę silnie wykształconą i uposażoną w pozytywne, społeczne pierwiastki, panujące nad jej życiem wewnętrznem. Kierunki kolektywne, związane z poglądem na społeczeństwo, przeciwstawiającym zbiorowość jednostce i naodwrót jednostkę zbiorowości, zwalczając własność indywidualną są konsekwentne, skoro nie chcą widzieć w jednostce wykształconych już przez wieki instynktów pozytywnych, społecznych, które działają w niej od wewnątrz i czynią z niej ognisko samowiedzy i aktywności narodowej. Przy tem wszystkiem konieczny rozwój bogactwa narodowego zachowuje w ustroju własności prywatnej dźwignię potężną, niezawodną, a działającą powszechnie, na szerokie masy.

Po rozważeniu kwestji ustroju własności, warto z kolei zająć się często omawianym obecnie w prasie i naogół niepopularnym t. zw. kapitalizmem. Należy stwierdzić odrazu na wstępie, że zagadnienie to jest zupełnie odrębne od poprzedniego, czyli od ustroju własności — zarówno w istocie rzeczy jak i w biegu historycznego rozwoju nie da się ustalić pokrewieństwa pomiędzy instytucją prywatnej własności a ustrojem kapitalistycznym. Przez stulecia istnienia własności indywidualnej nie było ani słychu o kapitalizmie i z drugiej strony nie musiałby tracić swoich cech istotnych kapitalizm, gdyby przestała istnieć własność prywatna, jak tego przykład żywy i aktualny mamy u naszych wschodnich sąsiadów, w kapitalizmie bolszewickim.

Jeśli się chce jakieś zjawisko rozeznać dokładnie i na serjo, wtedy pokazuje się zawsze, że jest ono bardzo złożone i dla zrozumienia go poważnego trzeba uświadomić sobie różnorodność czynników, składających się na nie. Tak właśnie jest z t. zw. ustrojem kapitalistycznym, zwłaszcza kiedy tematem roztrząsań jest jego żywotność, schyłek albo ewolucja. Trzeba więc stwierdzić naprzód kilka znanych faktów jak np., że kapitalizm jest związany z trzema właściwościami technicznemi współczesnego życia gospodarczego: po pierwsze z daleko posuniętym podziałem pracy, który zarazem czyni bardzo ważną organizację pośrednictwa,

powtóre z techniką wytwarzania, która, posługując się kosztownemi maszynami, wymaga dużych zasobów do rozpoczęcia produkcji, oraz, po trzecie, z nowoczesnym systemem finansowo-kredytowym. Im dłuższą ma drogę wytwór od producenta do konsumenta, tem ważniejsza — wiadomo — jest rola pośrednika, tem bardziej jest on nieodzowny ze swoim kapitałem, tem większy ma wpływ na strony, między któremi pośredniczy, i tem swobodniej może określać swoje zyski nie w stosunku do ilości ani jakości pracy, ale zależnie od przypadku, konjunktury albo w najlepszym razie inwencji. Kiedy wytwórca robi na zamówienie, jak np. rzemieślnik dla odbiorców znanych mu i konkretnych, którzy bezpośrednio towar odbiorą, niepotrzebny jest pośrednik ze swoją kosztowną usługą. Z chwilą jednak, kiedy powszechność i wzrost potrzeb czynią możliwą wytwórczość dla nabywcy nieznanego (dla rynku), wtedy pojawia się kupiec, gwarantujący wytwórcy odbiór towaru, dla którego sam już potrafi sobie znaleźć nabywcę. Dla tej zyskownej operacji potrzebny mu jest wszakże kapitał (obrotowy), aby kupić towar, zanim go następnie zyskownie sprzeda. Ten system, powstały wraz z gospodarką daleko rozwiniętej, pieniężnej wymiany i związany ze wzrostem potrzeb i upowszechnianiem się wyższej stopy życiowej, umożliwia ciągnięcie zysków z posiadanego kapitału z pewnem ryzykiem, ale niestosunkowych do włożonej pracy, albo zupełnie bez pracy, gdy kto inny dostarcza potrzebnego kapitału, a kto inny potem usługę pośrednictwa. W rozwoju historycznym, po tym kapitalizmie kupieckim, zrodzonym z komplikujących się stosunków wymiennych, z rozszerzających się na kraje, morza i oceany obszarów wymiany, przyszedł okres, kiedy technika wytwarzania maszynowego uczyniła nieodzownym kapitał w produkcji, a mianowicie z przyczyny nowej, ze względu na kosztowność instalacji nowoczesnego, maszynowego zakładu wytwórczego. Wreszcie rozwój kredytu wysunął do niebywałego znaczenia pośrednika, dysponującego kapitałami, i w nowych warunkach osoby kiedyś z powodu podobnych funkcyj pogardliwie zwane lichwiarzami doszły do znaczenia kierowniczego w życiu państw.

Prócz tych wymienionych czynników, tkwiących w kapitalizmie, które są związane z techniką współczesnego gospodarstwa społecznego, istotą t. zw. ustroju kapitalistycznego, przeciw której obraca się kierunek narodowy, jest coś więcej, niż fakt istnienia takich form gospodarczych.

Tradycyjne, odwieczne pojęcia, właściwe naszej cywilizacji, stawiały zawsze gospodarcze sprawy, obowiązki i funkcje najniżej w społecznej hierarchji. Malowane przez wielkich filozofów greckich idealne obrazy społeczeństw najwyżej ceniły funkcje rządzenia, mądrość, pracę rozumu; z kolej szły obowiązki żołnierskie obrony kraju, a wreszcie, jako trzecie i najniższe w hierarchji, prace gospodarcze, zepchnięte na barki najpośledniejszej, niewolniczej warstwy. Głowa, jako siedlisko mądrości, odpowiadała funkcji pierwszorzędnej, pierś, siedziba dzielności i uczuć wyższych, służbie wojskowej i wreszcie brzuch, symbol niższych uczuć, odpowiadał zabiegom materjalnym najniższej skali moralnej. Warstwy, obowiązane do rządzenia krajem oraz do jego obrony, nie powinny były mieć trosk materjalnych, ale też bogactwo i zyski nie mogły być przedmiotem pragnienia ich ani zabiegów. Średniowiecze przyniosło tę nowość, iż praca została w swej godności podniesiona równolegle z zanikaniem niewolnictwa, ale żądza wzbogacania się, egoistyczne używanie własności, lichwa i zysk bez pracy, niesłuszność ceny — wszystko to było nieprzerwanie przedmiotem zwalczania i krytycznych rozważań kanonistów. Kościół, uświęcając pracę gospodarczą, broni się jednak przed nadmiernem przywiązaniem ludzi do jej materjalnych wyników, przed wynoszeniem ich ponad inne moralne dobra. W szczególności zaś patrzy niechętnie na formy gospodarcze, dające korzyści bez pracy, jak procent od pożyczonych pieniędzy, albo na zajęcia, w których, jak w handlu, słuszny stosunek pomiędzy pracą a zyskiem wymyka się z pod oceny i kontroli. Jak wiadomo, wśród zajęć gospodarczych już w starożytności uznawano jeszcze dodatkową, wewnętrzną hierarchję, w której najwyżej stało rolnictwo, a najniżej „nietwórczy“ handel. Poglądy te, darzące pogardą handel, jeszcze w teorjach fizjokratów, więc w wieku ośmnastym, znajdują echo.

Rozwojowi i ostatecznemu zapanowaniu form kapitalistycznej gospodarki towarzyszy prąd umysłowy, podkopujący tradycyjne poglądy i wysuwający na miejce honorowe interesy gospodarcze, zyski i bogactwo. Niema już problemu, czy wolno się bogacić, jest tylko hasło: bogaćcie się i są pytania, jak się bogacić. Ta cała przemiana sprowadza skutki daleko idące a niebezpieczne dla organizacji i bytu politycznego narodów. Przedewszystkiem w życie narodów zostaje wprowadzony dzięki nowym formom gospodarczym oraz dzięki ich wyzwoleniu z wszelkich więzów i podniesieniu do t. zw. wolności gospodarczej, ferment ostrego przeciwstawienia na tle, szczególnie różniących ludzi w nowym ustroju, oraz wysuniętych teraz na czoło życia, interesów gospodarczych. W miejsce dawnej, silnej organizacji stanów i zawodów, uzupełniających się wzajemnie i ujętych w karby hierarchji, przychodzi ustrój, w którym zatomizowane na „wolne“ jednostki społeczeństwo dzieli się na grupy, według wysuniętych do pierwszej godności, dzielących ludzi interesów gospodarczych. I powtóre, prócz tej swobody, danej destrukcyjnym, materjalistycznym pierwiastkom życia, nowy ustrój gospodarczy mieścił w sobie duże niebezpieczeństwa dla przyszłej oligarchji w społeczeństwie, opartem na tych podstawach. Bogactwo, dające wpływy, skupiać się musiało w rękach ludzi, którzy umieli najlepiej ani myśleć, ani rządzić, ani wojować, ani nawet pracować, tylko robić interesy. Równocześnie zaś w ustroju tym bogactwo, podniesione w swej godności, daje łatwy dostęp do rządów, jeśli nie formalnie, to faktycznie. Taki zespół warunków nie daje żadnej gwarancji, że selekcja grupy decydującej w państwie dokona się w sposób zgodny z jego historycznemi celami. Umiejętność robienia interesów, uznanie zysków i bogactw za główny cel życia nie dowodzi wcale, że ludzie o takich właściwościach będą zarazem najmądrzej rządzili krajem i najdzielniej potrafią go bronić. Pojęcia starożytnych zwalniały od trosk gospodarczych warstwy, obarczone obowiązkiem rządzenia krajem, albo żołnierską, wojenną służbą, z tem przekonaniem wszakże, że beztroski tej nie pojmą one jako zamiłowania w bogactwie i zyskach. Okresowi kapitalistycznem towarzyszy stan rzeczy, w którym życie beztroskie, zyski, bogactwo i wpływy są udziałem ludzi, nie będących dzięki temu pociągnię-

tymi do żadnych obowiązków, ani formalnie, ani przez tradycję, która stanowiłaby dla nich przymus wewnętrzny. Warto też zauważyć, że starożytni, wiedząc o tem, iż troski materjalne utrudniałyby tym samym ludziom spełnianie obowiązków rządzenia państwem, rozwijania swej mądrości albo obrony kraju, wiedzieli zarazem, że bogactwo jest narodowi konieczne i dbałość o nie spychali na warstwę, do tego jedynie powołaną; nie istniejąca dzisiaj warstwa niewolników spełniała zadania, obecnie będące w pewnym stopniu obowiązkiem wszystkich, bez podziału pracy tak wyraźnie, jak w stosunkach społecznych minionych epok, zaznaczonego, ani też formalnie sankcjonowanego.

Wywody niniejszego artykułu, przypominające i porządkujące wiadomości ogólnikowe i powszechnie znane, mają na celu zwrócić uwagę głównie na kilka rzeczy. Na to, że instytucji własności prywatnej nie należy mieszać z ustrojem kapitalistycznego, gdyż są to dwie kwestje odrębne; dalej na to, iż w dzisiejszym ustroju gospodarczym, który określa się mianem kapitalistycznego, jest wiele czynników różnorodnych, nie nadających się do ryczałtowego traktowania; w szczególności, że trzeba oddzielnie traktować pewne formy życia gospodarczego, a oddzielnie materjalistyczny charakter ustroju, będący niewątpliwie źródłem destrukcji oraz anarchji w życiu narodów naszej cywilizacji; gdy przeciw temu materjalizmowi obraca się zdecydowanie kierunek narodowy, wobec panujących form gospodarczego życia musi być zajęte stanowisko krytyczne, które uwzględni jednakże konieczności gospodarcze oraz techniczne owego systemu i powtóre zachowa to, co jest niewątpliwie korzystnem i sprawnem, co mnoży bogactwo i gospodarczą siłą narodu. Jest to szczególnie ważne dla Polski, która nie nagromadziła jeszcze w dostatecznej mierze tych środków, w które zdołały obficie się zaopatrzyć inne narody, mające za sobą dłuższy okres kapitalizmu, środków, któreby uczyniły ją zdolną do walki na równych warunkach.

Polska, odbudowująca swój ustrój w okresie wielkich przemian, zachodzących w świecie jej cywilizacji, ma swobodę, ale zarazem niemałą trudność rozsądnego obioru form i dróg swego rozwoju.

ZDZISŁAW STAHL

HITLER

(ODCZYT WYGŁOSZONY 12 CZERWCA W SALI SOKOŁA W TARNOPOLU)

IDEOLOGJA

PODSTAWĄ wszystkich rozumowań Hitlera i jego najbliższych współpracowników jest przeświadczenie o wyższości rasy germańskiej, a przedewszystkiem Niemców, przeświadczenie o tem, że Niemcom należy się miejsce Europie, niezależnie od tego, czy zdobycie tego miejsca kolidować może z czyjemś prawem.

Teorja ta nie jest nowa. Już w drugiej połowie ubiegłego stulecia hrabia Gobineau przyznawał Niemcom wyższość nad innemi narodami Europy. Poglądy Gobineau znalazły żywe poparcie ze strony Ryszarda Wagnera, a pamięć Gobineau uczcili Niemcy założeniem w Strasburgu muzeum jego imienia.

Houston Chamberlain wślad za Gobineau przypisuje rasie germańskiej rolę najważniejszą w tworzeniu dóbr kulturalnych współczesnej Europy. Chamberlain rozszerza pojęcie rasy germańskiej, zaliczając do niej nietylko tych, którzy należą do niej pod względem czysto etnograficznym, lecz także tych, którzy odpowiadają „typowi moralnemu" germanów, w ten sposób zalicza do tej kategorji Michała Anioła, Lavoisier'a i cały szereg innych wybitnych jednostek, nie mających nic wspólnego z Niemcami.

POLITYKA WEWNĘTRZNA

Zadaniem państwa niemieckiego jest, według pojęcia Hitlera, służyć celom rasy germańskiej, oczyścić ją od obcych naleciałości, wychować tęgie pokolenie, zdolne do wprowadzenia w życie przewagi germanów w Europie. Do tego celu powinno być przystosowane wychowanie młodzieży. Nie należy jej przeładowywać wiedzą, lecz wychowywać charaktery. Parlamentaryzmowi w jego formie dotyczasowej przeciwstawić należy nowe pojęcie parlamentu, jako ciała doradczego. Decyzja — w ręku przewodniczącego. To samo w Komisjach, oraz w innych ciałach zbiorowych.

Państwo nie jest celem, lecz tylko środkiem. Ażeby pozyskać dla celów ogólnych szeroki masy, należy dać im możność korzystania ze wszystkich dóbr kulturalnych. W tem dążeniu nie może być mowy o samej tylko sprawiedliwości, czy objektywiźmie, musi ono być zrealizowane z całą bezwzględnością. „Musi to być załatwione bezwzględnie, z jednostronnem, fanatycznem nastawieniem na osiągnięcie tego celu".

— „Ale, powiada Hitler, nie dość jest pozyskać masy dla przeprowadzenia swoich celów, trzeba jednocześnie niszczyć tych, którzy się tym celom przeciwstawiają".

ATYSEMITYZM

Któż jest tym najważniejszym przeciwnikiem, zdaniem Hitlera.

Żydzi.

Oni zatruli duszę monarchji niemieckiej. Pod koniec wojny Żydzi prowadzili przeciwko Niemcom kampanję w całym świecie Nie kto inny, tylko Żydzi osłabiali energję niemiecką podczas wojny, a gdy przyszło załamanie na froncie, Żydzi skorzystali z tego, ażeby wprowadzić rządy socjalistyczne.

Żydzi, zdaniem Hitlera, są żywiołem nie twórczym, zdolnym tylko do negacji, lub do takiego, sprzecznego z duchem narodów aryjskich tworu, jakim jest socjalna demokracja.

Trzeba się wyzbyć wpływów żydowskich w kraju, odsunąć ich od wszelkiego udziału w życiu politycznem i „wystawić ich na gniew wszystkich narodów".

Dopiero w ten sposób państwo niemieckie odzyskać będzie mogło swoją czystość narodową i rządzone będzie zgodnie z potrzebami rasy germańskiej.

POLITYKA ZAGRANICZNA

Polityka dotychczasowa, zarówno przedwojenna, jak i powojenna, nie ma, zdaniem Hitlera, żadnej wartości. Błędem było szukanie zdobyczy na Zachodzie i Południu. Niepotrzebna była rozbudowa floty i zdobywanie kolonij. Jedyna istotna polityka, do której niezwłocznie trzeba powrócić, to polityka Niemiec z wieku trzynastego. *Drang nach Osten* — oto podstawa mądrej polityki niemieckiej. Na Wschodzie szukać należy wolnej przestrzeni dla rasy germańskiej.

Trzeba przedewszystkiem zerwać z Rosją. Nie można zawierać sojuszów z bandą morderców. Rosja w najkrótszym czasie przestanie istnieć jako państwo. Do tego muszą doprowadzić Rosję rządy żydowskie. Wówczas przyjdzie czas na Niemcy, które opanują tereny rosyjskie, oraz ziemie państw z Rosją graniczących.

Tylko trzeba dać spokój germanizowaniu narodów. Jest to niepotrzebne i szkodliwe dla czystości rasy niemieckiej. Germanizować należy tylko ziemie, a z narodami — powrócić należy do wzorów, stosowanych w polityce niemieckiej w wieku XIII, na północnym Wschodzie Europy...

Usadowiwszy się gruntownie na Wschodzie, Niemcy Hitlera mają przejść do wykonania najważniejszej swej misji dziejowej: rozprawić mają się z Francją, bo to jest odwieczny, nieprzejednany wróg, nie może być żadnych paktów z tym pokurczem rasy białej, mieszańcem rasy murzyńskiej. Niemcy mogą opierać swą politykę tylko na sojuszu z Włochami i Anglją. Mając zabezpieczone w ten sposób skrzydła, będą mogły zaatakować i zniszczyć Francję.

POLSKA

O Polsce mówi Hitler w swem dwutomowem dziele bardzo mało.

Wraz z innemi państwami, graniczącemi z Rosją, ma ona stanowić teren dla ekspansji szczepu germańskiego.

A ludność?

Sam Hitler mówi o tem bardzo krótko: powrót do metod, stosowanych w wieku XIII.

Szerzej rozwinął ten temat autor powieści p. t. *„Parthenau“* dr. René Hesse. Przedstawia on szczegółowo plan przyszłej kampanji niemieckiej przeciwko Polsce i Czechom. Przewaga liczebna przeciwników zmusi armję niemiecką, nieliczną lecz wyborową, do cofnięcia się w pierwszem stadjum walki za Odrę, lecz ściągnąwszy rezerwy, Reichswehra przechodzi do kontrataku na Górnym Śląsku, oskrzydla błyskawicznym ruchem, dzięki przewadze swej motoryzacji, armje polsko-czeskie i zadaje im klęskę. Potem przychodzi okres zebrania owoców tego zwycięstwa i wówczas — na mocy specjalnego porozumienia z Rosją — dwadzieścia miljonów Polaków Niemcy wysiedlają do Wschodniej Syberji.

GENEZA

Ażeby zrozumieć genezę tego ruchu, cofnąć się trzeba do tej chwili, kiedy w kwietniu 1919 r. podoficer II P. P. Bawarskiej Adolf Hitler rozmyślał razem z kolegami nad sytuacją swej ojczyzny i jej przyszłością.

Armja niemiecka powracała do kraju, przeświadczona o tem, że pobita nie została. Dopiero wróg wewnętrzny zadał tej armji w chwili niepowodzenia cios zdradziecki — *Dolchstoss.* Żydzi i socjaliści to sprawili. Oni sprowadzili na kraj rewolucję, zatruli szeregi defetyzmem i zdradą. Z tej sprzeczności pomiędzy frontem, a tyłem, z przeświadczenia o tem, że Niemcy nie są pobite, a więc należy im się prawo zwycięzców, rodzi się nastrój: owa buta pruska, stanowiąca podstawę psychologiczną ruchu, z tego źródła rodzą się mordy kapturowe.

MORDY KAPTUROWE

Widząc przeciwko sobie zorganizowany front stronnictw skrajnych, żołnierze i oficerowie, usposobieni nacjonalistycznie, tworzą w miejsce zdemobilizowanych jednostek wojskowych tajne organizacje, dyszące zemstą. Tam rodzą się plany rozprawienia się z przeciwnikami. Jeden za drugim giną wodzowie socjalistów i komunistów: Liebknecht, Luxemburg, Kurt Eisner, setki mniej znanych, podejrzewanych o szpiegostwo na rzecz Koalicji, lub poprostu o przekonania lewicowe.

Dr. Gumbel zebrał w swej książce szczegóły przeszło czterystu takich mordów, które doszły do instancyj sądowych. Gdzie nie można było znaleźć pretekstu do uniewinnienia lub umorzenia sprawy, tam niewykonywano ferowanych wyroków.

Wprawdzie Hitler nie jest zwolennikiem terroru politycznego, jako systemu, nie ulega jednak wątpliwości, że organizatorzy mordów kapturowych znaleźli się w pierwszych szeregach jego stronnictwa i że cały stosunek jego do przeciwników politycznych nacechowany jest dążeniem do bezwzględnego wytępienia. Niejednokrotnie, zarówno w swojem *„Mein Kampf“* jak w *„Völkischer Beobachter“* powtarzał on, że dla pozyskania mas nie dość jest bronić swych haseł, trzeba korzystać z każdej sposobności, aby dać wyraz czynny swemu stosunkowi do przeciwników. Trzeba być wobec nich bezwzględnym, fanatycznym, brutalnym — wówczas dopiero masy zostaną pozyskane.

DYNAMIKA SPOŁECZNA

W Niemczech przeprowadzono w wieku XX dwa spisy ludności. Jeden w r. 1910, drugi w 1925. Okazało się przytem, że ruch ludności Niemiec zupełnie zmienił swój charakter dotychczasowy. Zmienił się procent przyrostu, a wojna sprawiła tak głębokie szczerby, że zmienił się stosunek poszczególnych roczników.

Podczas, gdy ogólna liczba ludności wzrosła o 8%, procent dzieci spadł o 17%, natomiast procent młodzieży wzrósł o 23,8.

Absolutnie: przyrost ludności w ciągu okresu 1910 — 1925 wynosił 4.612 000, liczba dzieci do lat pięciu spadła o 1.100.000, dzieci od lat pięciu do dziesięciu spadła o 1.533.000, natomiast liczba młodzieży od 20 do 25 lat wzrosła o 1.183.000, w porównaniu z rokiem 1910.

Młodzież ta obecnie weszła w życie i ona to stanowi o wzmożonej dynamice Niemiec współczesnych. Z niej rekrutują się szeregi hitlerowskie. Ta wzmożona przewaga, w porównaniu z rokiem 1910,

żywiołu młodego, skłonnego do energicznych przedsięwzięć i rozstrzygnięć, stanowi podstawę ruchu.

BEZROBOCIE

Liczba bezrobotnych przekroczyła w Niemczech, według danych urzędowych za marzec r. b., sześć miljonów. Przy sposobności rozwiązania bojówek hitlerowskich prasa hitlerowska podawała, że przeszło połowa tych organizacyj składa się z bezrobotnych.

Kto widział wiece hitlerowskie w berlińskim „*Sportpalast*“ i zwrócił uwagę na typy, najbardziej liczne, na przyjęcie, jakiego doznawały w tym tłumie frazesy o „braku miejsca pod słońcem dla rasy germańskiej“, o ciasnocie granic, ten musiał zrozumieć, że ma przed sobą ludzi, których większość nie ma dla siebie miejsca w Niemczech współczesnych.

Masy bezrobotnych są drugim czynnikiem, nadającym charakter specyficzny ruchowi. Im zawdzięcza on swoją gotowość do wszelkiego ryzyka, właściwą ludziom nie wiele mającym do stracenia, dla nich też przeznaczone, ich pociągają hasła o bezwzględnem czy fanatycznem przeprowadzeniu haseł społecznych.

REALNE GWARANCJE

Cofnięcie wojsk koalicyjnych z Nadrenji, zrzeczenie się realnych gwarancyj, wpuszczenie Niemiec do Ligi Narodów i traktowanie ich na *forum* międzynarodowem jako czynnika równouprawnionego, było najważniejszym może czynnikiem powodzenia Hitlera. Od roku 1919 istniały i *Wehrwolf* i *Orgesch* i *Rossbach* i *Consul* i inne tajne organizacje, gdzie ferowano wyroki sądów kapturowych, skąd wychodzili bezkarni mordercy, lecz wówczas żywe było poczucie odpowiedzialności wobec Koalicji. Wówczas przeciętny Niemiec rozumiał, że innym językiem przemawiać można w zamkniętem gronie tajnej organizacji, lecz nazewnątrz głosu udzielić trzeba „europejczykowi Stresemannowi“.

Lecz dziś niema już więcej straży pokoju nad Renem, niema więc poco krępować wyrazu swych uczuć. To wszystko, co żyło od pierwszej chwili porażki, a co kryło się w obawie przed przemożnym przeciwnikiem, dziś w poczuciu swej bezkarności wyszło na światło dzienne i wlało się do szeregów Hitlera.

POLITYKA POLSKA

Czy polityka polska, praktykowana w sprawie niemieckiej po maju 1926 roku, przyczyniła się do tego, ażeby skłonić masy niemieckie do zastanowienia wobec sąsiada, który niezłomnie stoi przy swojem prawie i nie pozwoli na żadne uchybienie?

Odpowiedź wyczerpującą i jakże wymowną zawierają dzieje naszych rokowań handlowych, dzieje naszego udziału w konferencji haskiej, krótkie lecz wymowne przejścia z okresu ratyfikacji przez większość rządową.

Odpowiadają wymowne liczby utrwalonych na ziemiach polskich kolonistów — ów „złoty most, łączący Prusy Wschodnie z Rzeszą“, odpowiadają owe zabiegi o pozyskanie względów niemieckich, zabiegi, które nawet obojętnemu widzowi angielskiemu z „*The Economist*“ wydają się „prawie upokarzającemi“.

I jeśli w takiej chwili nie opadają w beznadziejnem zwątpieniu ręce i nowe niebezpieczeństwo — owoc odwiecznej buty zdobywczej, wyhodowany do takich rozmiarów w cieplarnianej atmosferze krótkowzrocznych rachub i politycznego samolubstwa, nie budzi zwątpienia, to już nie jest zasługą tych, którzy, opanowując władzę, powinni byli przejąć się poczuciem odpowiedzialności za losy Ojczyzny. Jest w duszy polskiej jedna, w długich przejściach stwierdzona, właściwość. Bezpieczeństwo rodzi apatję i bezwład. Do wielkiej „potrzeby“ wyprostowują się orle skrzydła polskiej duszy.

W obliczu zbierającej się od Zachodu chmury rośnie spokojna i twarda decyzja polska: ani piędzi ziemi!

To nie jest tylko spokojna pewność, że dotrzymamy kroku wypadkom, lecz to jest piorunochron, który odwrócić może niebezpieczeństwo i zniechęcić odrodzone krzyżactwo od zaawanturowania się ponownego na szlakach polskich.

Ile energji polskiej dałoby się oszczędzić, ile zużytkować na potrzeby spokojnego rozwoju, jaką powagę uzyskałaby Rzeczpospolita nazewnątrz, gdyby u Jej steru stanął w takiej chwili, powszechnym respektem otoczony, strzegący Jej honoru i bezpieczeństwa — Rząd Narodowy!

STANISŁAW ZIELIŃSKI

MIARA MIAR

W OCENIE zjawisk społecznych konieczna jest miara. W każdej sprawie omawianej trzeba mieć jakiś pogląd na nią—ugruntowany i określony, jakąś ideję i cel, słowem — miarę, bez niej bowiem najbarwniejsze słowa zamieniają się w dym, przedmiot — w próżnię, a podmiot oceniający — w reportera.

Różne mogą być systemy miar, ale człowiek poszczególny powinien się posługiwać jakimś jednym tylko, wybranym przez siebie systemem, a nie mieszać wielu. W razie przeciwnym będzie bezwiednym lub świadomym oszustem.

Każdy fizyczny system mierniczy posiada różne jednostki miary, oparte jednak na jednej zasadzie wspólnej, a różniące się między sobą tylko wielkością, co powstało dla ułatwienia rachunków. Milimetr i kilometr mają wspólny sprawdzian w metrze, który stanowi stałą miarę miar w danym systemie.

Tę samą zasadę musimy stosować w świecie zjawisk społecznych, jak zresztą i w każdym innym. Kiedy zaś sprawa jaka wikła się, zaciemnia i schodzi na manowce różnych systemów mierniczych, pierwszym obowiązkiem człowieka uczciwego jest sprowadzenie wszystkich jej wielkości do jednego systemu, a w nim — do jednego sprawdzianu, do jednej miary miar. To zasadniczo sprawę rozjaśnia.

Zdawałoby się, że tych tak jasnych i prostych zasad myślenia nikt w wątpliwość podać nie może. Lecz oto, kiedy w swoim czasie na tych tu łamach ogłosiłem szereg szkiców pod ogólnym tytułem „Wojna z Chamem“, dotyczących słynnej polemiki o styl zakopiański, spotkał mnie zarzut, że właśnie sprawę tę oparłem o podstawową miarę zjawisk społecznych, to jest — o typ rasowy człowieka, jako zjawisk tych podmiotu i sprawcy. Nie podejmowałbym o to sporu, gdyby krytykiem moim w tym przedmiocie był jaki mason lub socjalista: ci nie uznają różnic pomiędzy ludźmi — obłudnie a dyktrynersko, dogmatycznie i fanatycznie. Z nimi niema rozmowy. Ale zarzut ten postawił mi znany czytelnikom „Myśli Narodowej“ pisarz o umyśle niezależnym, pan K. L Koniński. Mogę przeto mieć nadzieję, że dobro sprawy publicznej wygra na sporze, który tu wszcząć zamierzam.

W krakowskiej „Gazecie literackiej“ w nr. 4 ze stycznia r. b. w szkicu p. t. „Polemika o styl podhalański“ p. Koniński w następujący sposób o mój pogląd mimochodem zaczepił:

„...szeroka dyskusja, w której oprócz J. G. Pawlikowskiego zabrał głos cały szereg architektów i innych osób, wykazała, że sprawa jest skomplikowana i że nie można jej traktować tak symplistycznie, jak pewien publicysta warszawski, który widzi tylko „chamstwo“ po jednej — „rasowość“ po drugiej stronie, wnosząc do polemiki akcenty, które rzeczy dobrej prędzej zaszkodzą niż pomogą. Trzeba tu — jak wszędzie zresztą — rzeczowego, kulturalnego: *distingué*“.

Owym „publicystą warszawskim“ jestem ja, nie wiem tylko dlaczego nie wymieniony z nazwiska. Nawiasem zaznaczyć muszę, że nie mam zaszczytu należeć do „warszawskich“, ani nawet wogóle do „publicystów“. Nie czuję się zobowiązany do tak daleko posuniętego regjonalizmu, a że wogóle pisuję czasem i czasem to mi ludzie drukują, to któż w tem stuleciu w Polsce nie pisuje i do druku nie trafia? Proszę mi pozwolić pozostać sobą imiennie i rodowo. To mi wystarcza.

Zdumiewający jest ze strony p. Konińskiego zarzut, że oparcie typu i charakteru architektury o rasowy typ jej twórcy, jak ja to uczyniłem, ma być „symplistycznem“ potraktowaniem przedmiotu. Ale jeszcze bardziej zdumiewa ta okoliczność, że p Koniński bezpośrednio po tym zarzucie sam na tem samem stanowisku staje. Mówi on mianowicie tuż po wyżej przytoczonym wstępie, jak następuje:

„Że Zakopane zaczyna przybierać wygląd w niektórych połaciach — banalny, miejscami obmierzły i nieprzyzwoity — to fakt“. A o kilka wierszy dalej: „..w Zakopane wbudowuje się od środka, toczy je jak nowotwór i grozi mu pożarciem jakieś nowe, całkiem nowe miasto, o zupełnie odmiennem, szpetnem, banalnem, a conajmniej obcem tu, nieodpowiedniem obliczu. Wygląd stolicy Podhala zaczyna być niemiły, pospolity, bałaganiasty i narzuca niecierpliwą myśl o poprawie tego stanu“. W zakończeniu zaś swojego referatu raz jeszcze p. Koniński ujawnia swój stosunek do architektury w żądaniu, aby krajobraz „mówił do nas mową dla głębokich instynktów naszych przyjemną“. (Do krajobrazu słusznie tu p. Koniński włączył architekturę i od niej właśnie żąda „przyjemnej“ mowy dla naszych „głębokich instynktów“).

A teraz zestawmy w jednym szeregu wszystkie przymiotniki, któremi moj rozmówca określa wygląd owej architektury nowoczesnej: „banalny, obmierzły, nieprzyzwoity, nowotwór (toczący, jak rak), o obliczu szpetnem, banalnem, wygląd niemiły, pospolity, bałaganiasty...“. Otóż wszystkie te określenia, w jeden syntetyczny mianownik ujęte, sprowadzają się do słowa „chamstwo“. Różnica pomiędzy mojem a pana Konińskiego stanowiskiem jest ta jedynie, że to, co on obchodzi drogą okrężną, zdaleka, a ostrożnie i co wysłowić pragnie z pochrząkiwaniem, ja nazywam zapomocą jednego, w mowie naszej istniejącego, skrótu syntetycznego. Stało się to zapewne dlatego, że uległem „niecierpliwej myśli o poprawie tego stanu“, o której wspomina mój rozmówca, ale mężnie się jej nie poddaje.

Taki jest stan zarzutu, który mnie spotkał, w jego części pozytywnej. Lekarzu, ulecz sam siebie! A w części negatywnej, tam, gdzie p. Koniński odwołuje się do „głębokich instynktów naszych”, znowu stanowiska nasze się utożsamiają. Cóż to bowiem są głębokie instynkty, jeśli nie rasowość? I znowu różnica między nami ta jedynie, że to, co mój rozmówca opatruje dalekiemi kryptonimami, ja nazywam wprost — krótko i węzłowato. Pochodzi to zapewne stąd, że nie jestem publicystą, czyli — szczędzę słów, a może zgoła pisać nie umiem. W każdym razie, jeżeli ja traktuję sprawę „symplistycznie”, to zupełnie tak samo traktuje ją p. Koniński, bo przecie nie o ilość słów chodzi, ani o ich troskliwe watowanie, lecz o ich treść ostateczną. Słowem: przymawiał kocieł garnkowi...

Z prac, które p. Koniński ogłasza, można wnioskować, że lubi on rozumować logicznie. W jakiż więc sposób się to stało, że upadł w dół, który dla mnie wykopał? Wytłumaczenie tego wypadku znajduję w ostatniem zdaniu przytoczonego na wstępie zarzutu. Mój rozmówca stawia tam taką zasadę: „Trzeba tu — jak wszędzie zresztą — rzeczowego, kulturalnego: *distingué*“. Dwa przymiotniki („rzeczowego i kulturalnego“), któremi opatrzone jest tu słowo francuskie, dają mu jednocześnie dwa zabarwienia — zielone i czerwone, niby dwa wzajem sprzeczne sygnały — jeden: przejazd wolny, a drugi: przejazd wzbroniony. Jeżeli bowiem ma to być „rzeczowe *distingué*“, to mam prawo rozumieć to słowo w jego łacińskiej etymologji, jako „rozróżnianie“, które stanowi podstawę myślenia logicznego. W takim razie moje rozróżnienie źródeł architektury na chamstwo i rasowość posiada tyle samo słuszności, co rozwlekłe, wielosłowne i ostrożne rozróżnienie p. Konińskiego. Jeżeli zaś ma to być „kulturalne *distingué*“, to mam prawo przypuszczać, że słowo to oznacza tu dystynkcję w pojęciu z wieku osiemnastego, jako wykrygowaną elegancję ciotek robronowych, którym słowo „chamstwo“ nigdy ustek nie skalało. A w takim razie muszę przemówić do mojego rozmówcy, niby do cioci werwenowej... w obronie werwy rzeczowej.

To drugie przypuszczenie jest bliższe prawdy, na co wskazuje uwaga p. Konińskiego, że wnoszę do polemiki „akcenty, które rzeczy dobrej prędzej zaszkodzą, niż pomogą“. Niema więc wątpliwości, że chodzi o akcenty, przeciw którym ciocia wącha flakon z solami „kulturalnego *distingué*“. Nie o rzecz chodzi, ale o nazwę i postawę. To też w referacie swoim p. Koniński kłania się wytwornie na wszystkie strony: i panu J. G. Pawlikowskiemu i panu Pirgo i innym panom, w polemice udział biorącym. Tylko mnie dostała się delikatna, w sto bibułek owinięta, wymówka, że jestem barbarzyńcą, pozba-

wionym „kulturalnego *distingué*". Nie wiem, jak to przeżyję, ale tymczasem jeszcze mogę podjąć małą wyprawę przeciw tym, którzy mdleją na widok wszelkich rozróżnień rzeczowych.

Wojna, która obecny świat ludzki we wszystkich jego dziedzinach ogarnia, to wojna pomiędzy rasowcem a chamem. Na biernem podłożu olbrzymich mas ludzkich — narodów i społeczeństw rozgrywa się odwieczna, ale po raz pierwszy w dziejach na tak wielką skalę zorganizowana walka pomiędzy dwoma czynnemi typami człowieka — twórcą Prometeuszem a niszczycielem Epimeteuszem. Pierwszy typ nazywam rasowcem, a to w znaczeniu, jakie temu słowu nadają hodowcy, a drugi typ — chamem, a to w znaczeniu, które zna każdy. Oba te słowa — skróty w takiej pełni i w takiej plastyce określają oba typy ludzkie, że wyrzekanie się ich i obcdodzenie zdaleka z flakonem „kulturalnego *distingué*", przy nosie, uznać muszę za sentymentalną stratę czasu — i to gwoli czemu i komu? Czy żeby nie ściągnąć podejrzeń o rasowe względem własnej osoby uroszczenia? Czy też ażeby chama nie urazić? Tak czy owak z czułostkowością tą trzeba iść do szpitala. Na polu walki jest tylko: albo swój, albo wróg. A komu to podstawowe rozróżnienie wydaje się „symplistyczne", tego cham rozróżniać nauczy sposobem nie tyle uproszczonym, ile prostackim.

Taką lekcję od chama otrzymała w przewrocie bolszewickim oświecona warstwa rosyjska. Pomimo bliskiego przykładu starsze, tak zwane „przedwojenne" pokolenie polskiej warstwy oświeconej w dalszym ciągu usiłuje chama kokietować, w poczynaniach jego dopatruje się tych i owych wartości, dobrotliwie i pilnie je rozważa, demokratycznie i liberalnie miejsca nowym „przekonaniom i poglądom" udziela, a jeśli nawet całą ich głupotę trafnie ocenia, idzie za głosem najbłędniejszej świecie maksymy: „Tyś mądrzejszy, więc ustąp głupiemu!"... Podejmując przeto polemikę niniejszą, nie do jednej osoby ją kieruję, ale do całej w społeczeństwie naszem gromady, która rozmiękczeniem woli, literackością myślenia, chwiejnością charakteru na liczne straty Polskę w ostatniem dziesięcioleciu naraziła. Mamy już tak dalece dość tego „*distingué*" starszych panów z kulturą — my prości i niecierpliwi, że wołamy ku nim: „Ustępujcie, ustępujcie czemprędzej! Obrzydliwa jest wasza rola: materaców, któremi osłaniacie chamstwo przed naszemi pięściami!"

Miarą miar dla nas jest człowiek rasowy, twórczy, przedstawiciel Etosu w społeczeństwie, a podczas — Patosu w narodzie, człowiek, którego najwyższym symbolem jest Prometeusz. A naszym wrogiem, którego bez żadnych względów zwalczamy, jest cham, niszczyciel, przedstawiciel Chaosu w społeczności utajonego, a podczas — rozkładu w narodzie, człowiek, którego symbolem jest Epimeteusz, ten bałwan z puszką Pandory. Według tej miary i tego przeciwstawienia w żadnym wypadku pobłądzić nie można. Niema dziedziny życia, w którejby dwa te typy czynne wyraźnie się nie przeciwstawiały. A że oba teraz szybko i według metod nowoczesnych się organizują i do rozstrzygającej bitwy obozy swoje przygotowują, więc rozróżnianie ich staje się coraz jaśniejsze i pewniejsze. Architektura, jak wogóle — sztuka, nie mniej, niż polityka stanowi teren zmagań się obu, wrogich wzajem, typów człowieka. Tylko na podstawie tej miary miar można bez błędu oceniać prądy w architekturze nurtujące. Czy to „symplistyczne" traktowanie sprawy nie jest raczej stanowiskiem bardzo powikłanem, do zajęcia i utrzymania trudnem, wymagającem dużej wiedzy, wielkiej kultury i mocnego charakteru? Ludziom miękkim i powierzchownie na sztukę patrzącym w stanowisku tem nie podobają się „akcenty". A no! trudno... Drzemce poobiedniej także nie podobają się akcenty baterji armatniej, pod oknem ustawionej. Rzecz w tem, kto tu jest nie na miejscu — baterja, czy drzemka?

Stanowisko („pod oknem"), które zajęła baterja dział w dziedzinie architektury nie jest przypadkowe. Samo życie je wyznaczyło. I tu, na zakończenie szkicu, zaznaczyć muszę zjawisko wysoce znamienne: oba typy, o których tu mowa, we wszystkich krajach i dziedzinach życia organizują się we dwa obozy — narodowy i międzynarodowy. Odbywa się niemal samorzutnie, właśnie na zasadzie „głębokich instynktów", dobór typów i ich ugrupowanie w obozach według jednej, tu już widocznie objektywnej, bo, rzec można — biologicznej, miary miar: ludzie rasowi, twórcy wszelkich stopni obracają się w orbicie obozu narodowego, zaś chamy, niszczyciele — w mgławicy obozu międzynarodowego. Wystarczy przyjrzeć się rozwojowi zdarzeń po wojnie światowej w zakresie polityki, myśli społecznej i gospodarczej, nauki, sztuki, moralności, ażeby bez najmniejszych wyjątków i wątpliwości ten przedziwnie symetryczny podział typów ludzkich stwierdzić.

Widocznie życie traktuje tę sprawę bardzo „symplistycznie" i bez „kulturalnego *distingué*". Stanowczo: życie jest źle wychowywane.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

IDEAŁ KOBIETY U WEYSSENHOFFA

W NUMERZE 27 „Myśli Narodowej" z r. b. p. Stanisław Miłaszewski w wspaniale skonstruowanym poglądzie na czterdziestolecie twórczości Weyssenhoffa rzuca w zapytanie ujętą syntezę:

— Jak się to stało, że Warszulka zakrólowała wśród kobiet Weyssenhoffa?

A ja zapytı ję, czy to się naprawdę stało? Czy Warszulka rzeczywiście zakrólowała? Jeżeli mamy królewskość zamknąć w ramach piastowo-gedyminowego prymitywu, to tak, ale jeśli chodzi o królowanie na szczytach światowej i naszej narodowej kultury, to Weyssenhoff nie Warszulce dał berło królowej, lecz Reni. Renia jest tą „Polką, najbogaciej uposażoną we wdzięki i najzdolniejszą z europejskich kobiet" — jak twierdzi sam Weyssenhoff w refleksjach swoich w „Puszczy".

Literatura powieściowa polska zna dwa najpiękniejsze typy dziewczęcia polskiego: Madzię z „Emancypantek" B. Prusa i Renię z „Puszczy" Weyssenhoffa. Ale kiedy Madzia streszcza w sobie urok naiwności, budzący uśmiech wobec kontra-

stów życiowych; Renia przedstawia czar niewinności i czystości duchowej dziewczęcia, których nie zburzy uświadomienie o realnościach życia.

Madzia rujnuje sobie życie, odpychając miłość kochanego i kochającego człowieka dla naiwnej chimery o grzechu, którego nie było; Renia w niewinności swej przeczuwa „kłopoty“ swego wybranego i opanowuje jego burzliwe życie, aby je wy prowadzić na czyste wody.

Madzia obecnie trąci już lawendą z kantorka, przechowującego pamiątki przeszłości; Renia jest żywa i dziś, jakkolwiek nie na wystawach miejskich. Renię trzeba odszukać, umieć dojrzeć, choćby w głębiach puszczy i... umieć na nią zasłużyć. Puszcze nasze wprawdzie przetrzebiła niewola i inwazje, wnosząc destrukcję w ład życiowy; dwory nasze opustoszały, ale wygnanki Polki przez tragiczne kordony zabrały z sobą duszę i swoje tradycje narodowe, zdolne odradzać naród. Renia żyje dotąd. W Reni, jak „w ziarnku żyta, żyje przyszłe zboże“. Renia — to owa przyszła „kobieta gniazdowa“ i „pani dworna“ ze swoją „mądrą powagą“, tak dobrze określona przez Górnickiego jeszcze w XVI wieku.

I niech mi nie mówią, że dziś kobiety, stanowiące prawie więcej niż połowę narodu, zmuszone do pracy samodzielnej, muszą być inne. Niech tylko kobieta doktór filozofji i szef biura dochowa i strzeże swojej czystości ducha i czystości tradycyj narodowych, niech nie daje się zbrudzić importowanem z innej rasy „uświadomieniem macierzyństwa“, a uczciwy mężczyzna zawsze jej hołd złoży, jako twórczyni domowego ogniska. Weyssenhoff dał nam Renię nie na dziś, ale na jutro, na odrodzenie—na zażegnanie chaosu w pojęciach.

W czem leży czar Reni jako dziewczęcia? Właśnie w niewinności, w prostocie, w naturalności wdzięcznej, w braku wszelkiej pozy i kokieterji sztucznej. Śliczna jest scena poznania się Reni i Edwarda. Jej ani w głowie, jak się ona wyda wielkoświatowemu młodzieńcowi. Ją, jako towarzyszkę myśliwskich wypraw ojca, zajmuje jego fuzja, kwestja spudłowania do głuszca i możność dania rady przybyszowi, o celowaniu w mroku i o „białej muszce“. Mówi mu: „Pan myśli, że ja jestem dziecko? A ja mam lat osiemnaście!“ Zostaje ogarnięta zachwytem w obec przystojnego i miłego w rozmowie młodzieńca, ale jest opanowana i tylko, po jego wyjeździe, zaczyna myśleć i mówić z siostrą o miłości. A gdy ta wspomina o kimś innym, że podobałby się jej, gdyby nie staroświeckie wąsy, Renia mówi z refleksją:

— „Mnie, gdyby się kto podobał — to już ze wszystkiem: z tem co robi, co myśli i... także z wąsami“.

Tutaj odrazu zarysowuje się kobieta, co umie wejść w siebie — i oddać się na całe życie, bez reszty, gdy pokocha.

Gdy po dziewczęcemu rozmyśla o przyjaźni „z nim“, stwierdza to niezbicie: „Bo kobieta, kiedy kogo lubi, to najlepszy bliźni.“ Albo gdy Edward proponuje jej sąsiedzką korespondencję, powiada: „Poproszę tatusia, aby listu nie otwierał“.—I wtedy on przestaje mówić o korespondencji. Nadzieja na łatwą intryżkę w tajemnicy — rozwiana.

Renia nie zamyka oczu na wartość moralną swego ukochanego. Dotąd zwierzył się jej, że ma kłopot, gdyż chce zerwać ze swoją „narzeczoną“, która jest... mężatką! Renia głęboko współczuje temu kłopotowi. Ale, przychodzi na nią okres próby, w której pod wpływem ojca mądrego i kochającego, dojrzewa z dziewczątka na kobietę.

Edward uświadamia sobie czar, jaki padł na niego od jej szczerości i niewinności — i rozmyśla: Czyżby szczęście było zgodą ponęty — z cnotą? Szczerze chce wyplątać się z romansu z awanturniczą mężatką i z długów. Więc z iście męskiem nietroszczeniem się o to, co pozostawia za sobą, wyjeżdża na kilka miesięcy zagranicę bez uprzedzenia Reni. Renia opuszczona w samotności cierpi, dojrzewa w sobie, rozumie nareszcie, co znaczą słowa „n a r z e c z o n a — m ę ż a t k a“, ale kocha — bo... kocha.

Edward po powrocie iście po męsku zdziwiony jest, gdy mu stary przyjaciel przedstawia, że niełatwo jest wziąć zaraz Renię, bo ona jest „inna niż inne.“ „Zwyczajna kobieta — dodaje — mówi zawsze o sobie: taka już jestem i idzie za każdą zachcianką. A Renia, gdy ma co postanowić, zapytuje sama siebie: Jaką być powinnam? I idzie za obowiązkiem. To się czasem wydaje nienowożytne, nie poetyczne... jednak w tem leży wartość kobiety dla mężczyzny i dla społeczeństwa, i wogóle wartość człowieka.“

Gdy przychodzi do porozumienia między nimi, Renia ze swoją „mądrą powagą“ mówi mu szczerze: „Miał pan projekt zabrania żony swemu znajomemu, a przecież to grzech wielki!“ A Edward pomyślał błyskawicznie: taką powinna być moja żona, skłonił głowę poważnie, jak przed wyrokiem.

Na wszystkie zachwyty odpowiada mu:—„Więc niech pan powie poprostu, że prosi pan o moją rękę!“ A nakoniec tak mu charakteryzuje siebie: — „Ja jestem zwyczajna, wiejska panna, nie jedna z tych, które pan znał, bardzo mądrych, ale myślących o chwili, i o sobie. Ja kocham też ojca i życie nasze porządne. Naprzód trzeba, aby pan poprosił o mnie mego ojca“.

A te wszystkie cudne sam na sam w lasach, na polowaniach, te głębokie poematy miłosnej pieśni bez słów, w których Renia utrzymuje się sama z całym swym szczerym wdziękiem na wyżynie już uświadomionej kobiecości — i „oczyma — tym nieśmiertelnym talizmanem duszy, moc bezrozumną na uwięzi trzyma.“

To jest owo przez autora głoszone „piękno dobroczynne“.

Postać Reni może być uważana za miarę zmysłu poetyckiego i artyzmu Weyssenhoffa. On ją zrobił królową wśród kobiet, odmalowanych przez siebie, ją — a nie Warszulkę, która przy całym realizmie swym, jest cnotą okolicznościową tylko, i owem „pięknem abstrakcyjnem“; „pięknem dobroczynnem“ w danej sytuacji godnym królowania jest chyba tylko — panicz.

To nie pomniejsza „Sobola i Panny“ jako arcydzieła, które pozostanie nazawsze jedną z ozdób literatury polskiej. Ale „Puszcza“ pozostanie wiecznie jej gwiazdą, daj Boże przewodnią, bo prowadzi do ukochania czaru przyrody, ziemi rodzinnej i czystości ducha w kobiecie.

My Polki, szczególnie współziemianki Weyssenhoffa z ziemi Kowieńskiej i Wileńskiej, powinnybyśmy się postarać o nowe szaty dla swojej królowej, aby książka „Puszczy“, porwana już na kawałki w czytelniach nawet w Wilnie — otrzymała nowe wydanie, godnie zilustrowane. Byłoby to może częściową indemnizacją za skarykaturowanie przez kino czarów naszej przyrody, naszej kobiety i talentu pisarza.

Wilno, czerwiec 1932 LUDWIKA ŻYCKA

NA WIDOWNI

Przyzwyczajenie stępia wrażliwość. — Spojrzenie na prasę „sanacyjną“ świeżem okiem. — O czem myślał współpracownik „Gazety Polskiej“, pisząc o „antypaństwowcach“ w Jadowie. — Jak to Ekscelencja Głąbiński „szykował się w ciszy ducha“, kiedy inni działali...

DOWCIP, nawet najlepszy, usłyszany dziesięć razy pod rząd, przestaje bawić. Bezsens, nawet najoczywistszy, powtarzany ustawicznie, przestaje wywoływać reakcję, przestaje śmieszyć albo oburzać. Po niejakim czasie poprostu nie zauważa się już bezmyślności formuły, raz po raz tonem poważnym wypowiadanej. Oswojenie się stępia wrażliwość, zarówno w dziedzinie fizycznej jak umysłowej. Tem tłumaczy się przyzwyczajenie mieszkańców dzielnic żydowskich do zaduchu i brak u nich jakiejkolwiek tęsknoty za jakiemś, nieco bardziej europejskiem ochędóstwem. Tem tłumaczy się też wytrzymałość czytelników prasy sanacyjnej...

Tak złożyło się, że przez miesiąc cały pozbawiony byłem sposobności przeglądania dzienników krajowych, co (mówiąc nawiasem) nie przyprawiło mnie o jakąś zbytnią nostalgję. Z tęsknoty za żabami, rechocącemi nad stawem, mogła zrodzić się poezja „Pana Tadeusza“, ale nikt chyba nie wyskrobałby z siebie odrobiny wzruszenia, zatęskniwszy za dostojnym tonem „Gazety Polskiej“ czy „Ilustrowanego Kurjera Codziennego“.

W każdym razie, po miesięcznym poście, rzuciwszy świeżem, niezmęczonem okiem na numer „Gazety Polskiej“, wpadłem na pomysł naprawdę paradoksalny: przypuściłem na chwilę z całą powagą, że piszący w tym dzienniku zastanawiają się nad tem, co piszą, i spojrzawszy na pierwszą z brzegu notatkę, zacząłem rozpatrywać lojalnie i sumiennie, co też autor jej mógł mieć na myśli, gdy to pisał.

Wzrok mój padł na krótką wiadomość, zamieszczoną tłustym drukiem na środku pierwszej stronicy (nr. 193 z dn. 14 b. m.). Wyczytałem tam o aresztowaniu członków Obozu Wielkiej Polski z okazji zajść w Jadowie, przyczem dziennikarz sanacyjny objaśniał, że organizatorowie Młodych O.W.P. „starali się podnieść popularność swego stronnictwa przez antypaństwowe wystąpienia“.

Wyobrażam sobie, z jakim namysłem, z jakiem poczuciem odpowiedzialności współpracownik „Gazety Polskiej“ formułował to objaśnienie, tak zaiste sensacyjne w swem nieprawdopodobieństwie. Zdawał sobie przecież dokładnie sprawę z całej zawrotnej, nie dającej się wprost pojąć niezwykłości sytuacji, iż w sercu Polski, u samych bram stolicy, wśród najbardziej rdzennej polskiej ludności, hasło zniszczenia Państwa Polskiego tak jest lubiane i tak miły, tak przychylny u ogółu budzi oddźwięk, że przywódcy grupy politycznej za najskuteczniejszy sposób „podniesienia popularności swego stronnictwa“ uznali „wystąpienia antypaństwowe...“ Wiedział przecież, iż hasło zmiecenia państwa francuskiego z powierzchni ziemi nie jest najskuteczniejszym sposobem pozyskania życzliwości wieśniaka z Touraine czy Berry, że mieszkańcy Wessex'u czy Surrey'u nie zostaliby zjednani projektem — zniszczenia państwa angielskiego. Pisząc więc w centralnym organie partji rządowej, zdawał sobie oczywiście sprawę, jakie piorunujące wrażenie taka trudna do pojęcia wiadomość wywrzeć musi na każdym, czytającym ją cudzoziemcu i jakie osobliwe refleksje nasunie mu na temat zasadniczej odmienności Polaków od wszystkich pozostałych narodów Europy czy Azji. „Bo że są zwolennicy i przeciwnicy rządu“ — pomyśli taki obcy czytelnik — „to rozumiem, wszędzie w świecie są partje, popierające rząd, i są partje opozycyjne. Ale żeby ludność, tworząca państwo, nie jakaś tam obca mniejszość narodowa, jednocześnie chciała jego zniszczenia, żeby niby ludność polska była.. antypolska, to, doprawdy, oszaleć można, a nic się nie zrozumie! Chyba jeszcze niedostatecznie opanowałem ten trudny język i nie rozumiem, co czytam, albo może znowu jakieś niechlujstwo korekty...“

Atoli współpracownik „Gazety Polskiej“, informując swoich czytelników o tem niepodobnem do wiary zjawisku, niewątpliwie poważnie i głęboko zadumać się musiał także nad przyczynami, które doprowadziły do stosunków tak niesamowitych. Wszak nie sposób było przypuścić, aby z krwi i kości Polacy z góry już z tak nieubłaganą wrogością odnosili się do państwa, w którem władza jest polska, język — polski, tradycja — polska, aby zgóry już państwo takie uznawali za nienawistne i dążyli do zastąpienia go innem, obcem. Dzieje odbudowania Państwa Polskiego nie zanotowały też ani słówkiem, ażeby ludność Jadowa i okolicy jakiekolwiek tej odbudowie stawiała była przeszkody. Jeżeli przeto rzeczywiście powstały tam nastroje tak dla Państwa Polskiego złowrogie, to musiało to nastąpić dopiero w czasach ostatnich i dziennikarz sanacyjny, jako człowiek myślący, niezawodnie musiał zastanowić się nad zagadnieniem, jakie cechy działalności dzisiejszej „państwowości“ naszej i jej organów do takiego straszliwego stanu umysłów mogły doprowadzić. Ale z wyniku tych rozważań nie zwierzył się ani słowem. „Gazeta Polska“, zawiadamiając zdumiony świat o życzliwości, którą jakoby budzą w społeczeństwie polskiem hasła antypaństwowe, nie wyprowadza jakoś przy tej sposobności żadnych wniosków na temat uroku i siły atrakcyjnej obecnego *régime*'u...

— — — — — — — — — — — — — —

W „Gazecie Polskiej“ wyczytać można wiele interesujących informacyj. Tak naprzykład w tymże samym numerze, na tejże samej stronicy, niepodpisany publicysta, wspominając działalność P.O.W. (Polskiej Organizacji Wojskowej, kierowanej przez Piłsudskiego) w czasie wojny światowej, zaznacza, iż „była to organizacja tajna... bo kto chciał w czasie zaborów i okupacji naprawdę walczyć z najeźdźcą, ten musiał kryć się pod ziemią“.[1]) Owa działalność P.O.W. rozwijała się — zdaniem współpracownika „Gazety Polskiej“ — w czasie, „kiedy już Ekscelencja Głąbiński w ciszy ducha szykował się

[1]) Dla uzupełnienia informacyj o P. O. W. przytoczyć warto dosłowny fragment z memorjału, napisanego przez brygadjera Piłsudskiego dnia 28 lipca 1918 r. i przesłanego przezeń na ręce członka Rady Regencyjnej, ks. Zdzisława Lubomirskiego. „Ja sam“ — pisze bryg. Piłsudski we wspomnianym memorjale o P.O.W. — „miałem zaszczyt na ćwiczeniach warszawskiej organizacji widzieć, w postaci dwuch oficerów, przedstawicieli warszawskiej *Feldpolizei*, którzy byli tak grzeczni, że odwieźli mnie z ćwiczeń do Warszawy swoim automobilem. Ćwiczenia tej „tajnej“ organizacji nietylko w Warszawie, ale i na prowincji odbywały się za pozwoleniem władz i mnie osobiście w Radzie Stanu nieraz przypominali panowie komisarze, bym polecił organizacjom lokalnym o takie pozwolenia się starać“.

do wysłania hołdowniczych depesz *nach Wien und nach Berlin*..."

Ach, ci „endecy" niepoprawni! Zawsze niezdolni do decyzji, zawsze niezdolni do czynu! Ekscelencja Głąbiński, oczywiście żadnych depesz hołdowniczych nigdy nie wysłał, „szykował się" tylko do nich i to w takiej kompletnej „ciszy ducha", że nikt dosłownie, nikt poza jednym niepodpisanym współpracownikiem „Gazety Polskiej" nigdy nic się o tem „szykowaniu" nie dowiedział. Nikomu tych projektów nie wyjawił, nie pozostawił żadnych bruljonów, żadnych śladów...

Jakże od tego mdłego „szykowania się" odbijają przykłady Czynu realnego, ludzi, którzy umieją nietylko „szykować się w ciszy ducha", ale działać. Biorę do rąk „Dokumenty historyczne z wojny europejskiej" i wzrok mój pada na tekst następującej depeszy:

„W imieniu pozostającego pod mą komendą Legjonu polskiego ośmielam się wyrazić najuniżeńsze podziękowanie za dary świąteczne, które zostały rozdane załodze, leżącej w rowach strzeleckich wśród najgwałtowniejszego ognia nieprzyjacielskiego.

Piłsudski, brygadjer".

Depesza wysłana była do Arcyksiężniczki Izabelli, żony wodza naczelnego armji austrjacko-węgierskiej, osławionego arcyksięcia Fryderyka... Adresowana była... *nach Wien*...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

ZAMARŁO NA CZAS FERYJ W POLSCE ŻYCIE POLITYCZNE. W praktyce, w warunkach dzisiejszych, oznacza to między innemi, że tradycyjne instytucje i wartości życia narodowego, stale zagrożone w toku „sezonu" politycznego, chwilowo nie zaznają nowych ataków i zniewag. Gdy pomyśli się o tem, jak poważna jest liczba, jak wielka rozpiętość tradycyj życia publicznego — od honoru rycerskiego do autonomji uniwersytetów — które w dobie dzisiejszej uległy uszkodzeniu, skłonnym się jest — taki już duch czasu! — bagatelizować drobniejsze straty cywilizacyjne. W trosce o zdrowie narodu należy jednak zdawać sobie sprawę z niedomagań, które w życiu zbiorowem są tylko niepotrzebną, uleczalną słabością. Tu chcemy wziąć pod uwagę jeden tylko objaw, pozornie mało ważny: mianowicie upadek, ściślej: zanik polemiki. Nietylko kultury polemicznej, ale i zwyczaju rozmowy polemicznej. Nietrudno jest zrozumieć przyczynę tego. Polemika jest w gruncie rzeczy produktem i wyrazem jedności narodowej. Mamy na myśli potężną wspólnotę poglądów i przekonań, z konieczności istniejącą w życiu każdego narodu (bo naród to jedność), wspólnotę, która sprawia, że gdy dyskutuje się o kwestjach, dzielących ludzi, to z reguły muszą to być kwestji mniej ważne. Polemika tedy z natury rzeczy jest funkcją jedności narodowej. Najlepiej widać to w krajach, gdzie jedność narodowa jest najpełniej, najpraktyczniej urzeczywistniona: jak np. w Anglji. Tam gust do polemiki jest największy, tam najłatwiej się różnić zdaniem w drobiazgach, gdzie dużo kwestyj ważnych jest zgodnie w życiu narodowem załatwionych. U nas przeciwnie: jak to z bystrością zadziwiającą zauważył Norwid:

„W polemice tak mało formy urobione,
Że trudno jest się różnić: łatwiej zejść na stronę".

Właśnie: niepodobna jest się różnić, a nie jest to, o! nie, dowodem siły i jedności narodowej. Dowodzi tylko zanarchizowania społeczeństwa, zanarchizowania w dużej mierze — sztucznego. Niewątpliwie, w życiu publicznem bez porównania mniej od Anglji mamy tradycyjnych obyczajów i instytucyj—łączników, które przeszłość zostawiła nam w spadku. Ale teraźniejszość wysila się, aby i to, co zostało, rozstroić i osłabić. Taka się zrobiła sytuacja, że autonomja uniwersytetów przeszkadza w pracy „państwowo-twórczej"... Sytuacja sztuczna: a przecież ma ten skutek realny, że nie można nawet zawiązać rozmowy politycznej. Nie można związać zdania ze zdaniem, bo dyskusja, ten wyraz jedności, nie spełnia żadnej funkcji w życiu narodowem. Nikt z nikim nie gada; wszyscy tylko wołają na stronie. Oto jedyna forma „polemik" dziś przyjęta. W dzisiejszych warunkach politycznego bytu inne stosunki nie są możliwe Za to uwstecznnienie życia „sanacja" ponosi przeważną odpowiedzialność.

NIEMA JUŻ ODSZKODOWAŃ. Kwestja ta, do niedawna tak poruszająca umysły, już się „rozwiązała". Imiona Dawesa, Younga i t. d. nie związały się z dziełami trwałemi. „Plan Dawesa", i „plan Younga"—nie okazały się dobremi lokatami dla imion, aspirujących do nieśmiertelności. Nie tu miejsce i pora wnikać w przyczyny, co doprowadziły ostatecznie do takiego „rozwiązania". Tkwiły one w międzynarodowym układzie sił, i zaznaczały swe działanie od dłuższego czasu. Mało było ludzi, co wierzyli, że kwestja kontrybucji niemieckiej będzie jeszcze długo zagadnieniem pierwszorzędnej wagi w polityce międzynarodowej. Ale niezwykłym wprost humorem nieświadomym wyróżnił się głos sanacyjny („Cata") w „Słowie" wileńskiem, który właśnie w momencie, gdy odszkodowania znikły, wywodził, jak trwałego znaczenia to kwestja. Wymysły na „endecję", przy tej sposobności w naturalny sposób na stronie wygłoszone, dobrze ilustrują wyżej wypowiedziane nasze uwagi o niemożności zawiązania rozmów polemicznych. Możemy tylko cytować próbki. „Do szkodników sprawy polskiej"—brzmi głos rzeczowy—„i to do szkodników najgorszych, bo osłabiających, deprecjonujących pozycję polityczną naszego państwa, należą ci wszyscy, którzy wbrew logice i zdrowemu sensowi, powodowani jakimś mistycyzmem, idą za „objawieniami prawd" endeckiemi i twierdzą, że pomiędzy Polską i Niemcami jest większa sprzeczność interesów, niż nawet między Francją a Niemcami, podczas gdy oczywiście takie kwestji, jak r e p a r a c j e (podkr. nasze), Anschluss, kolonje, są to wszystko problematy znacznie większej politycznej wagi, niż to wszystko, co stanowi przedmiot naszego sporu z Niemcami". Jak leciuchno rzuca się na przeciwników politycznych oskarżenie, że „szkodzą państwu"! Wrogowie ci mniemają, że spór polsko-niemiecki jest kofliktem większej politycznej wagi, niż kwestja, która nie istnieje! Mniemanie to „osłabia, deprecjonuje pozycję polityczną naszego państwa"! Do takich absurdów dojść można, podając czytelnikom głupstwo obmotane frazesem „państwowym". Poprawny

publicysta sanacyjny dzisiejszej szkoły mota i plącze te frazesy niczem kuglarz, ciągający z ust taśmę papieru bez końca. Motanie ma zastąpić czynności myślenia. Cenny traf, który tak dowcipnie pokazał, że to nie to samo. To oświadczenie, że za punkt wyjścia polityki trzeba wziąć odszkodowania, przyszło punktualnie w momencie, gdy rzeczony punkt wyjścia sam się zlikwidował.

DRUGA, POZA ZNIESIENIEM ODSZKODOWAŃ, NOWOŚĆ POLITYCZNA ostatnich dni: pakt konsultacyjny francusko - angielski — wywołała sprzeczne komentarze w prasie polskiej i europejskiej. Trudnoby z tych komentazry coś wypośrodkować: i byłoby to metoda mylna, podobnie jak niewiele wyjaśniłoby zgłębianie treści paktu, bo banały oparłyby się wszelkiej analizie. Porozumienie konsultacyjne francusko — angielskie, do którego zresztą inne państwa mają lub mają mieć swobodę przystąpienia — nie oznacza bynajmniej, że otworzył się nowy rozdział historji powojennej Europy. W szczególności nie oznacza ono, jak to suggerowała część prasy, że uknuto nowy spisek przeciwko naszym granicom zachodnim. Abstrakcyjnego znaczenia nie posiada pakt prawie żadnego. Sens i wartość praktyczną nada mu dopiero polityka, głównie francuska i angielska, zależnie od kierunku, jaki obierze. Jeśli zatem chodzi o plany rewizyjne Niemiec, to bynajmniej nie należy rozumieć, że podpisanie paktu oznaczać ma poparcie angielskie, i co ważniejsza, francuskie, dla tych planów. Wszelki układ przyjazny krępuje obustronie, i gdy jeden z kontrahentów wie dobrze, czego chce, i ma politykę wyraźną, drugi zaś nie jest tak zdecydowany, to w rezultacie skrępowany przyjaźnie jest raczej ten drugi. Sojusz polsko - francuski — i wogóle cały system sojuszów w Europie Środkowo-Wschodniej jest podstawą powojennej polityki francuskiej; próba zmiany tego systemu, zastąpienia go czemś innem byłaby tylko próbą fantasty. Zdawałoby się przeto, że niema szczególnych powodów do niepokoju. Sprawa jednak nie przedstawia się tak dobrze, gdy wziąć pod uwagę *imponderabilia*, głównie w postaci głębokiej odrazy Francuzów do sposobów rządzenia, przyjętych dziś w Polsce. Za dobrodziejstwa urządzeń „sanacyjnych" w kraju nigdzie nie zapłaciliśmy większą stratą *prestige*'u, niż we Francji. Doskonale to pochlebiać sobie, że np. „Sprawa brzeska nie osłabiła ani Polski, ani jej rządu", jak zapewniają z głębi prowincji niektórzy publicyści sanacyjni. Z rzeczywistością nie mają te zapewnienia nic wspólnego. Jeśli się nie jest nawet czułym na upadek szacunku dla imienia Polski zagranicą, to niemożność zrealizowania drugiej transzy pożyczki kolejowej nawet dla tych mało wrażliwych musi mieć swoją wymowę. Z punktu widzenia skuteczności zabiegów, wysiłki pp. Targowskich i Koców we Francji niewiele różnią się od *dolce far niente* wywczasów wakacyjnych... Odpowiedzialność za sytuację, dość niebywałą w stosunkach sojuszniczych, która zapracowanych negocjatorów upodabnia do lazzaronów, jest ustalona... W tej niezdolności wyzyskania i rozwinięcia sojuszu polsko-francuskiego kryje się ostrzeżenie na przyszłość. Znaczenie praktyczne paktu francusko-angielskiego w niemałej mierze zależeć będzie od wartości jutrzejszej Polski i jej polityki w najbliższej dobie.

MIMO CZTERNASTU LAT NIEPODLEGŁOŚCI wciąż jeszcze nie możemy się do niej przyzwyczaić. Wciąż wydaje nam się bądź bez naszej współpracy otrzymanym podarkiem Opatrzności, bądź, co gorsza, upominkiem potężnych sprzymierzeńców, którym winniśmy najgłębszą wdzięczność. Wciąż czujemy się ubogimi krewnymi, a jest rzeczą ciekawą, iż przychologję tę kultywuje obóz, który wciąż deklamuje o „mocarstwowości".

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej obchodzą uroczyście rocznicę Washingtona. Jest to naturalne i zrozumiałe. Dlaczego jednak z tego powodu wypuściła jubileuszowe znaczki poczta... polska? Na znaczkach tych króluje Washington, mając po bokach jako assesorów: Kościuszkę i Pułaskiego.

Gdyby te znaczki wypuściła poczta amerykańska, byłoby to uznaniem zasług Pułaskiego i Kościuszki dla kraju Yankesów. Wypuszczone przez Polskę są nonsensem. Co wogóle zrobił dla Polski Washington? Że był ważnym epizodem w życiu Kościuszki? Tak, o to zdaje się chodzi. Mówi się światu: Patrzcie, przy wielkim Amerykaninie plątało się dwóch Polaków. Otarli się o niego i stąd ich tytuł do sławy...

Brak w tem dostatecznego poczucia godności narodowej. Kościuszko i Pułaski byli większi od Washingtona, choćby dlatego, że walczyli o prawa narodu przeciw najeźdźcy, nie zaś o cło na herbatę przeciwko własnej ojczyźnie. Ale naszemu społeczeństwu imponuje Ameryka, imponuje wogóle zagranica. „Mocarstwowość" nasza ma jeszcze bardzo wiele z parwenjusza...

PRZYKRO NAM, ŻE PODCIĄGNĄĆ MOŻNA POD WSPÓLNY STRYCHULEC Ministerjum Poczty i Ignacego Paderewskiego. A jednak pomnik pułkownika House'a jest pod pewnym względem symbolem niemniejszym, niż marki z Washingtonem.

Gdy Paderewski w r. 1910 ufundował pomnik grunwaldzki, stwierdził przez ten czyn zaufanie we własne siły narodu. Dzieło Wiwulskiego przypomniało narodowi w niewoli — dni chwały nieśmiertelnej, mocy zwycięskiej, epopeję polskiego oręża. Pomniki Wilsona i House'a nie są najwłaściwszą kontynuacją tej myśli. Narzucają przekonanie, że za niepodległość Polski winniśmy wdzięczność Amerykanom. Niedość było „skwerku Hoovera", zresztą istotnie groteskowego. Ale idąc tą drogą, należałoby postawić pomniki i Balfourowi, i Chestertonowi, a przedewszystkiem Francuzom takim, jak Foch, Pétain, Archinard, Le Rond, Clémenceau, Poincaré, Doumer, Nouleus... Wszyscy oni działali na korzyść Polski, ale nawet oni wszyscy nie są właściwymi twórcami polskiej niepodległości. Stworzyła ją polska myśl polityczna, wysiłek narodu polskiego, ofiarność polskiego żołnierza i obywatela.

Nie mają dotąd pomnika bracia Lutosławscy, krwią męczeńską wieńczący swą pracę dla Polski, nie ma go Popławski, Mazzini *risorgimenta* polskiego, nie ma go Balicki, nie ma Aleksander Skarbek, Jan Smólski... Mówimy wyłącznie o zmarłych, tych, których wysiłkiem jest Polska. Dlatego nie dziw, że Warszawa dość chłodno przyjęła szpetny zresztą pomnik Edwarda Mandell-House'a.

A TERAZ TRZECI CHARAKTERYSTYCZNY DOWÓD, jak daleko nam do psychiki wielkiego narodu. W jednem z kin poczęto wyświetlać nad program widoki Gdańska. Publiczność gwizdaniem i krzykiem zmusiła dyrekcję do zmiany programu, sądząc, iż daje tem dowód swego patrjotyzmu.

Biedna publiczność warszawska! Nie można jej winić. Ma jaknajlepsze intencje. Czyta o skandalach senatu gańskiego, nie widzi reakcji ze strony urzędowej Polski, więc w poczuciu bezsilności odwraca oczy od starych murów starego miasta polskiego, które wszak „było nasze“ i musi być „znowu nasze“.

Jakże to? Nie chcemy oglądać kawała prastarej, historycznej polskiej ziemi? Tak jakby kto przeklął dwór rodzinny za to, że w nim zagnieździły się szczury. Gdańszczanie nas drażnią i prowokują, ale Gdańszczanie to nie Gdańsk! Gdyby go nie odcięto od Polski w Traktacie Wersalskim, byłby dziś może tak polski, jak Bydgoszcz.

Nie słychać w historji, aby Stefan Batory na wieść o buncie Gdańska zareagował wrzuceniem do Wisły gdańskich szaf z zamku wawelskiego. Ale dziś „sanacja“ przyzwyczaja nas powoli do nowej, „mocarstwowej“ polityki...

NAUKA I LITERATURA

W SPRAWIE KSIĄŻKI W. GIUSTI'ego O WSPÓŁCZESNEJ POEZJI POLSKIEJ

W „MYŚLI NARODOWEJ“ z dn. 10 lipca br. (nr. 30) pojawiła się notatka, przedstawiająca mylnie treść rozprawy Dr. W. Gusti'ego pt.: *„Aspetti dela poesia polacca contemporanea“*. Autor notatki, nie znając samej pracy włoskiego uczonego (docenta literatury czeskiej w uniwersytecie rzymskim), oparł się na sprawozdaniu p. d'Armili, z którego wyprowadził fałszywe wnioski. Autor zarzuca Giusti'emu, iż wśród poetów polskich omawia twórczość Tuwima, Słonimskiego, Wittlina, Jasieńskiego i Peipera, pomagając w ten sposób pisarzom żydowskim do podszywania się pod firmę literatury polskiej i oszukując—w dobrej wierze—publiczność włoską i polską.

Troski autora cytowanej notatki są bezprzedmiotowe. Gdyby znał studjum Giusti'ego, wiedziałby, że włoski uczony zanalizował uczciwie i objektywnie poezję wymienionych pisarzów, wyjaśniając często jej charakter właśnie żydowszczyzną twórców. Daleki od polityki, Giusti nie unikał bynajmniej prawdy, wprowadzając ją rzeczowo i bezstronnie do swych naukowych rozstrząsań. Uwydatniłem to w recenzji z rozprawy Giusti'ego, drukowanej w „Ruchu Literackim“ 1931 r.

Należy tutaj dodać, iż Giusti zajął naogół stanowisko krytyczne wobec całej grupy „Skamandra“; wskutek tego zapewne został zupełnie przemilczany przez „Wiadomości Literackie“, które zresztą z gorliwą skrupulatnością rejestrują wszystkie głosy cudzoziemców — o ile są dla filarów pisma przychylne.

Fakt, że Giusti, omawiając współczesną poezję polską, nie pominął czy też nie wyodrębnił Tuwima, Wittlina i t. d., nie może być podstawą zarzutów wobec cudzoziemca. Dopóki w nauce polskiej, i wogóle w nauce europejskiej, nie zostanie rozstrzygnięta zawiła kwestja: czy o przynależności do pewnej literatury decyduje język utworów, czy też ich duch[1]),—dopóty nie można od badacza wymagać więcej, niż zrobił Giusti.

Autor notatki wyrządził mimowolnie krzywdę zarówno Dr. Giusti'emu, jak i sprawozdawcy, p. d'Armili, którzy współczesne piśmiennictwo polskie doskonale znają i bacznie śledzą, doszukując się w niem oryginalnych tonów polskich.

MIECZYSŁAW PISZCZKOWSKI

[1]) Ciekawe uwagi na temat sztuki narodowej umieścił niedawno w „Myśli Narodowej“ p. Michał Pawlikowski.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Mamy do zanotowania fakt całkiem interesujący. Ukazał się mianowicie na rynku księgarskim tom I „Rocznika Prawa i Ekonomji“, wydawnictwa Ogólnopolskiego Związku Akademickich Kół Naukowych oraz Wydziału Kół Prawniczych O. Z. A. K. N., pod redakcją mgr. praw Tadeusza Bernadzikiewicza.

Na treść „Rocznika“, którego celem jest przegląd młodej myśli prawniczej i ekonomicznej na terenie całej Polski, w formie dłuższych rozpraw naukowych, składa się szereg prac, które pozwolimy sobie wyszczególnić: Aleksandra Sochackiego mgr. prawa z Warszawy — Zagadnienie pacyfikacji świata a rozbrojenie; Witolda W. Warkałło stud. prawa z Warszawy — Czy jednostki są podmiotami prawa międzynarodowego?; Stanisława Huberta mgr. prawa ze Lwowa — Zasady restytucji państwowości w zastosowaniu do Republiki Genewskiej w r. 1814 — 1815; Mieczysława Kłaka mgr. prawa ze Lwowa — Związki celowe w prawie pruskiem a związki międzykomunalne w prawie polskiem; Stanisławy Kalickiej mgr. prawa ze Lwowa — Legitymacja skargowa we francuskiem sądownictwie administracyjnem; Tadeusza Bernadzikiewicza mgr. prawa z Warszawy — Zagadnienie rentowności gospodarki państwowej; Stefana Bollanda stud. prawa z Krakowa — Problem działania t. zw. cen maksymalnych w teorji ekonomji; Stanisława Floręckiego mgr. prawa z Warszawy — Lokalizacja przemysłu według teorji Webera. Ponadto kilka artykułów o ruchu naukowym polskiej młodzieży prawniczej.

Przyznać trzeba, że pierwsza próba wypadła wcale pomyślnie, i jakkolwiek to i owo dałoby się wydawnictwu i młodej redakcji zarzucić, temniemniej „Rocznik“ zasługuje stanowczo na „dalszy żywot“ i dalszy rozwój. W tem miejscu warto wspomnieć i o energji inicjatorów, którym udało się w obecnym okresie czasu zebrać odpowiednie fundusze i doprowadzić rzecz do końca. Zaradność finansowa iście budująca. W każdym razie „zbudowała“ tom I.

Z pomiędzy wyszczególnionych powyżej prac na plan pierwszy wybija się rozprawa mgr. Tadeusza Bernadzikiewicza, która ukazała się zresztą również w formie odbitki z przedmową prof. Romana Rybarskiego. Zarówno z uwagi na temat jak i na sumienne i umiejętne opracowanie — rzecz zasługuje na uwagę i należałoby życzyć, aby przyczyniła się ona do podniesienia poziomu dyskusyj na temat rentowności gospodarki państwowej przez uporządkowanie teoretyczne zasadniczych pojęć. Szkoda tylko, że materjał cyfrowy, zwłaszcza dotyczący polskich przedsiębiorstw, dość ubogi. Być może, iż luka ta zostanie w przyszłości zapełniona. (A)

*

Zdawałoby się, że o Mickiewiczu powiedziano już wszystko, co powiedzieć można było,—że zbadano wszystkie teksty jego dzieł, ustalono ich brzmienie, znaczenie i chronologję. Tymczasem ta pewność jeszcze jest przedwczesna, ba, mocno zwodnicza. W świetle najnowszych badań okazuje się, że teksty najbardziej nawet znanych utworów bywały skażone lub niedość opracowane w wydaniach dotychczasowych. Niespodzianie np. znalazł się autograf „Ciemności“ tłumaczonej z Byrona (rzecz tę ogłosił świeżo L. Podhorski-Okołów w „Ruchu Literackim“). Ale najdzielniejszym odkrywcą nieznanych „Mickiewiczianów“ jest prof. Pigoń, najgłębszy niewątpliwie znawca poety. Do dawniejszych plonów (zużytkowanych czyto w świetnem opracowaniu „Pana Tadeusza“ w „Biblj. Narodowej“ czyto w najlepszem dotąd polskiem wydaniu poezyj Mickiewicza, ogłoszonem przed 4-ma laty u Gubrynowicza we Lwowie) dorzucił świeżo garść nową, która ukazała się p. t. „Corollaria Mickiewiczowskie“ (Wilno 1932). Na czele tej broszurki znajduje się rozprawka „Mickiewicz a K. Rdułtowski“, stwierdzająca, że wiersz „Do K. R.“ uważany dotąd za erotyk skierowany do Karoliny Sobańskiej, nie jest wcale erotykiem, lecz wierszem albumowym, poświęconym Konstantemu Rdułtowskiemu, właścicielowi Snowia i tłumaczowi „Sonetów“ Mickiewicza na język angielski. Ciekawa jest rozprawka „Szekspir w sonetach krymskich“, tłumacząca przyczynę zmian, jakie Mickiewicz poczynił w pierwotnym tekście „Sonetów“. W trzeciej rozprawie (najdłuższej) zajmuje się prof. Pigoń źródłami niektórych „Zdań i uwag“ Mickiewicza, wykazując związek ich z pismami Franklina i Baadera. Z tą rozprawką wiąże się poniekąd druga, gdzie autor omawia te „Zdania i uwagi“, które poeta określił jako przekłady z St. Martina, Anioła Ślązaka i Boehmego.

Że prof. Pigoń nie zamyka się w kręgu zamiłowań mickiewiczowskich, dowodem są ogłoszone po pismach artykuły o Goethem i in., a także objęcie funkcji redaktora w zbiorowem wydaniu „Dzieł“ Orkana (Wyd. Lit. Naukowe, Kraków). Dotychczas ukazały się dwa pierwsze tomy tego wydania, zawierające powieść „W Roztokach“. (J. B.)

*

W przedmowie do „Tematów rumuńskich“ Emil Zegadłowicz zapowiedział, że wkrótce wyda zbiór utworów największego poety rumuńskiego, tragicznie zmarłego Michała Eminescu. Ponieważ pisanie Zegadłowiczowi łatwo idzie, więc niedługo trzeba było czekać na spełnienie obietnicy. Oto bowiem nakładem słynnej już drukarni poznańskiej Jana Kuglina ukazał się przekład poematu Eminescu „Cesarz i proletarjusz“ (*„Impărat si proletar“*), opatrzony dłuższą dedykacją, napisaną po rumuńsku przez tłumacza, a zwróconą do prof. Mikołaja Jorgi „uczonego, filozofa, poety i sternika nawy państwowej“ (dodajmy jeszcze: szczerego przyjaciela Polaków). Trzy pierwsze tytuły należałyby się też samemu Eminescu, który jako filozof położył niemałe zasługi w literaturze ojczystej. Filozofją zresztą przesiąknięte są i jego utwory poetyckie. Pesymizm jest w nich nutą dominującą. Może w tem winę pewną ponosi wpływ Schopenhauera, w większej jednak mierze podziałały na poetę własne ciężkie przeżycia. Cierpienie i krzywda ludzka są u niego częstym tematem rozważań; ukojenie i otuchę znajduje poeta w — pesymistycznej bądź co bądź — konkluzji, „że snem wieczystej nicości jest życie całego świata“; jest to jakby echo wierzeń indyjskich, któremi się Eminescu bardzo interesował. Poemat o cesarzu i proletarjuszu — o ile domyśleć się można — powstał zapewne pod wrażeniem r. 1871, t. j. upadku trzeciego cesarstwa oraz krótkich rządów komuny paryskiej. Zrazu kipi w nim bunt rewolucyjny, ale z czasem przychodzi refleksja, każąca odczuwać człowieka zarówno w upośledzonym jak możnym. „Odwiecznie te same dążenia i tylko forma się zmienia — odwiecznie jeden jest człowiek w całej globowej rodzinie“. Przekład jest niewątpliwie godzien oryginału. Zegadłowicz czuje się dobrze w atmosferze rumuńskiego poety, który wszak, podobnie jak on, snuje powieści o „powsinogach“: „Na deskach zczerniałych ław, w karczmie pod stropem niskim, obsiadła długi stół ponurem zwartem koliskiem gromada włóczęgów z wszech dróg“... Tylko ten ton pesymistyczny—to cecha, która dotąd poezji Zegadłowicza była obca. Wielkiej pochwały godna jest szata zewnętrzna książki, której przepych wprost każe nam zapomnieć, że żyjemy w czasach kryzysu. (J. B.)

*

Pożyteczną dla historyków, a w swoim rodzaju jedyną książką jest opracowany przez ks. Teofila Bzowskiego katalog „Ojców i braci Towarzystwa Jezusowego zmarłych w polskich prowincjach od r. 1820“ (Kraków, nakład OO. Jezuitów). Praca ta jest oparta na materjałach archiwalnych, będących w znacznej części unikatami. Jak wiadomo, po kasacie zakonu Tow. Jezusowego w r. 1773 utrzymali się jezuici jedynie w prowincji białoruskiej, gdzie Katarzyna II nie dozwoliła na ogłoszenie bulli papieskiej. Prowincja ta, z doskonale naówczas prosperującem gimnazjum w Połocku, założonem niegdyś przez ks. Skargę, stała się schroniskiem wielu wybitnych jezuitów z Włoch, Niemiec, Francji i Holandji, którzy pragnęli pozostać w zakonie, a pozatem kształciła coraz nowych alumnów, tak iż w chwili przywrócenia zakonu w r. 1814 ona właśnie była gniazdem odrodzenia. Władzę generała zakonnego piastował wówczas Polak, ks. Tadeusz Brzozowski, rodem z Warmji, dzielny kaznodzieja i filozof. Natychmiast po jego śmierci Aleksander I wydał dekret, wyganiający jezuitów z całego ówczesnego imperjum rosyjskiego. Wygnańcy przenieśli się do Galicji, gdzie założyli kilka domów i gimnazjum w Tarnopolu, przeniesione następnie przez O. Marjana Morawskiego i O. H. Jackowskiego do Chyrowa. Obecnie zakon rozszerzył się na całą Polskę, a stąd utrzymuje misje między rodakami w Ameryce, Westfalji, Rumunji oraz wśród murzynów w Rodezji. W katalogu, zawierającym skrupulatnie zebrane wiadomości biograficzne, spotykamy wiele nazwisk sławnych, zasłużonych i czcigodnych, jak apostoła trędowatych na Madagaskarze: ks. Jana Beyzyma (którego słynne „Listy“ miały już siedem wydań), jak wybitnych poetów, ks. Karola Antoniewicza (pozatem bohatera powstania listopadowego oraz apostoła zbłąkanego ludu w r. 1846) i ks. Józefa Morelowskiego, autora przejmujących „Trenów na rozbiór Polski w r. 1795 pisanych“, jak znakomitych uczonych: ks. Władysława Szczepańskiego, ks. Marjana Morawskiego (którego „Wieczory nad Lemanem“ zdobyły sobie światowy rozgłos), ks. Jana Nuckowskiego (autora słynnej „Logiki“ oraz wielu prac przyrodniczych), filozofów: ks. Klimkego i Hortyńskiego, historyków: ks. Sasa i Załęskiego, astronoma ks. Gromadzkiego i in. O każdym z nich można dowiedzieć się wielu ciekawych, a często bardzo budujących szczegółów. (J. B.)

*

Ukazała się książka dr. T. Seiferta, profesora Wyższej Szkoły Handlu Zagranicznego we Lwowie pt. „Polskie i zagraniczne instytucje popierania eksportu“ (Lwów 1932 str. 176). Książka ma charakter podręcznika i zawiera wiele ciekawych i cennych informacyj, dotyczących polityki eksportowej. Dziś więc, gdy nasze poglądy na rolę eksportu podlegają zasadniczej rewizji, książka ta może służyć, jako informator podręczny przy rozważaniach na tematy eksportowe. (J. P.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Gdy p. Irena Nemirowska wydała w Paryżu pierwszą książkę *„David Golder“*, niektórzy krytycy w swym entuzjazmie dla tej młodej autorki, oświadczyli, iż powieść ta jest arcydziełem. Sąd ten był niechybnie nieco zbyt pośpieszny. Irena Nemirowska bowiem posiada niewątpliwie dużo talentu, ale nie więcej, ani mniej od wielu pisarzy francuskich. Żyjemy jednak w epoce, w której snobizm dla cudzoziemców spowodował pewne fałszywe oceny. Powiedzmy szczerze, że bodaj bardziej ciekawą od pierwszej powieści Ireny Nemirowskiej była druga nowela, opublikowana później p. t. *„Le bal“ (Grasset)*. Obecnie zaś autorka ta wydaje u tegoż samego wydawcy także właściwie nowelę *„Les Mouches d'Automne“*. Bohaterami jej są emigranci rosyjscy, a mianowicie rodzina Karine. Bogacze ci żyli szczęśliwie w ich dworze Karinowka w pobliżu Soukharewo do chwili wybuchu wojny. Stamtąd to dwaj synowie udadzą się na plac boju. Żegna ich rodzina, ale może bardziej od niej głęboko jest tym odjazdem przejęta Tatiana Ivanowna, pozostająca od 50 lat jako guwernantka przy rodzinie Karine. Dramat jej jest wątkiem interesującej powieści. (I. B.)

TEATR

JIM i JILL

W TEATRZE POLSKIM wystawiono komedję muzyczną. Dawniej się to nazywało poprostu operetką, ale operetka od pewnego czasu wyszła z mody i nie robi kasy. Uchodzi w Warszawie za formę teatralną przestarzałą. Dobra była dla przedwojennej, burżuazyjnej epoki. Epoka dzisiejsza, epoka Instytutu propagandy sztuki, gardzi nią. Snoby wstydzą się chodzić na operetkę. Co innego „komedja muzyczna“! To brzmi daleko nobliwiej. Na to można pójść śmiało, nie narażając się na zarzut złego smaku[1]). Wobec tego ostatnia premjera zwabiła całą elitę sfer literackich i artystycznych stolicy. Jak na drugą połowę lipca, sfery te w roku bieżącym są niezwykle licznie w Warszawie reprezentowane. Stawiły się w pełnym, reprezentacyjnym komplecie. Prawdopodobnie, wskutek kryzysu, który uniemożliwia przedstawicielom literatury i sztuki wyjazd na wakacje.

Otóż komedja muzyczna, wystawiona w Teatrze Polskim, nosi tytuł „Jim i Jill“. Autorowie jej p. Clifford Grey i Greatrex Newman napisali ją z możliwie najmniejszym nakładem energji twórczej. Wzięli poprostu *libretto* inscenizowanej tylokrotnie bajki o Kopciuszku i przenicowali je naopak. Z Kopciuszka - dziewczyny zrobili chłopca, z królewicza — amerykańską księżniczkę dolarów, ważny w bajce rekwizyt-pantofelek—zastąpiony został męskim kapeluszem. Pozatem wszystko pozostało po dawnemu, tyle tylko, że poubierano aktorów w kostjumy nowoczesne i sprawiono modernistyczne dekoracje. Muzyka również modna: jazzbandowo-radjofoniczno-dancingowo-kinematograficzna, t. j. taka, jaką się przyprawia filmy dźwiękowe.

Główną rolę męską odtwarza p. Bodo — filar Bandy. Główną żeńską p. Modzelewska. Grają, śpiewają, tańczą po mistrzowsku. Bodo nie jest napewno ani odrobinę gorszy od Maurycego Chevaliera, Modzelewska śmiało mogłaby się mierzyć z najwybitniejszemi „wedetami“ paryskiemi. Robiliby oboje furorę w Moulin Rouge'u i w Folies Bergéres.

Reżyser, p. Węgierko, inscenizując „Jima i Jilla“ wzorował się na René Clair'ze. Większość jednak efektów reżyserskich, doskonałych na ekranie—na scenie zawodzi. Przedewszystkiem dlatego, że na scenie nie podobna osiągnąć błyskawicznego, kinematograficznego tempa. Brak owego tempa dawał się bardzo odczuwać. Przedstawienie było o wiele zadługie. Wychodziliśmy z teatru znużeni.

ZASTĘPCA

---

[1]) Ludzie umiejący po angielsku twierdzą, że określenie *„The musical comedy“*, znaczy po polsku poprostu — operetka.

OFENSYWA

AFERA MAUROIS

ZE WSZYSTKICH tych obecnie miarodajnych, międzynarodowych i międzymiastowych nadznakomitości literackich obu kontynentów stosunkowo duży respekt miało się właściwie tylko przed Maurois. Tamte wszystkie asy i tuzy to *plus minus* natchnione reportery, wieczne tułacze, wystukujące w wagonach ekspresów na maszynach amerykańskich płytką ale pieprzną sieczkę aktualności, to wywęszacze sensacyjności, eksploatatorzy tematów i konfliktów popularnych, często gęsto tylko genjalne cwaniaki. Taki Ałdanow (Laudau), taki Ehrenburg, Trocki, Ludwig, Kessel, Żabotyński, Asz, Kisch i t. p. no to na wagę biorąc jednakowy lekki towar z asfaltów, z portów, z rewolucji, z przeżyć, doznań i doświadczeń ludzkiego miału z Ghetta. Jak widzi świat... dorósłszy, sprytny ongiś, mały, wygadany Joselek?... Przyroda i krajobraz oglądane przez amerykańskie okulary w rogowych oprawach...

Niekiedy i to można było czytywać i przeczytać. Można ale nie koniecznie trzeba. Semicki wzrok zawsze ogarnia horyzonty pod krzywym kątem. Zawsze pretensje i kwasy. To o klimat, to do ludzi. I zawsze zaduży procent nałgany. Nie można zaufać. Co Kisch o Ameryce, Londres o Argentynie, Asz o Moskwie, Poliakow (Augur) o Anglji, Savoir o Francji i Paryżu, Toller o Hiszpanji i Hiszpanach rozpowiadają, to temu można dać wiary tylko w 45 do 47%.

Wyższy gatunek pisarzy z tej rasy, to już może tacy, jak Cremieux, Halevy, Bernstein, Meric, Hamp...

Jeszcze o piętro wyżej nad parter uliczny, już nawet blisko rozgłośnej wieży filozofa Bergsona... tacy jak Benda, jak Maurois. Tu już jesteśmy w całkiem innym klimacie duchowym i oddechamy innem powietrzem. Czosnku omal nie czuć, ani koszernej ryby. Ozon górnych stref i sfer myślowych, „*fine*" nie „*fajn*".

Szczególnie zaś André Maurois zasługiwał dotychczas na odgrodzenie całej jego twórczości od Tytanów z Olimpu semickiego. Już przez to, że był urodzony Alzatczyk, nie zaś jako te przybłędne nomady Lecache (Frankenstein), Kessele, Niemirowskie i t. p. Rodzina choć żydowska (Schlesinger czy Herzog) po r. 1871 optowała na rzecz Francji. Podczas wojny służył w wojsku przy sztabie angielskim jako tłumacz. Potem był przemysłowcem, prowadził wielkie tkalnie swej rodziny, więc nie ze świata i środowiska bankierskiego (Proust) pasożytnego, szachrajskiego, giełdziarskiego, a raczej ze świata pożytecznej, „konstruktywnej pracy". Do pisania i literatury przeszedł nie od kawiarni na Montparnasse, od „Rotundy" i „Donne", przepełnionych kudłatymi Irokezami i Ost-Europy, ale z biur fabrycznych..., co jest bardzo ważne i dodatnie. Nadto jeszcze kult, kultura, szlif i styl wielkobrytyjski, rozkochanie szczere i głębokie w genjuszu angielskim, czemu dał odrazu mocny wyraz, bohaterów powieściowych swoich dobierając z rasy angielskiej.

Pojęciami i poglądami zbliżał się do obozu integralnego nacjonalizmu, za co „*l'Action Francaise*" rewanżowała się entuzjastycznem odnoszeniem się doń (o „*Bernardem Quesnay*", o „*Le Silences du colonel Bramble*", o „*Climats*"). Kiedy André Maurois zaryzykował odważnie antydemokratyczną, antyparlamentarną francuską broszurę „*Il nous faut des chefs*", entuzjazm Maurrasa, Daudeta, Bainville'a doszedł do zenitu. Obie monografje „romansowe" angielskie i o „Arielu" i o Beaconsfieldzie przyjęto w całym prawicowym obozie intelektualnym frenetycznemi superlatywami. Krótko mówiąc, nie było wogóle pisarza, któryby się cieszył taką protekcją i afektami integralnych nacjonalistów paryskich jak... semita Maurois. Czasami te recenzje i studja pochwalcze sprawiały aż humorystyczne wrażenie; podkpiwała z nich sobie nieprzebłagana rygorystka, antisemitka pani ....Rachilde.

Tymczasem już przedtem budziły nieco sceptycyzm i fale nieufności dwie okoliczności. Pierwsza: jakim to sposobem może jeden i ten sam pisarz, artysta myśliciel dać ciepły portret takiego poety nieziemskiego, jak Shelleya, strąconego anioła, zbuntowanego „Ariela" i ten sam autor również ciepły w kolorze uczuciowym wizerunek takiego d'Izraelego, aroganckiego wirtuoza karjerowiczowstwa, „Kędzierzawego Cezara", szczęściarza i szulera politycznego, osobistości skreś-przyziemnej i przyziemnej, a do tego wszystkiego jeszcze zaczajonego, demonicznego, mefistofelicznego Judejczyka? Czyżby autor „*Il nous faut des chefs*" dawał Francuzom, suggerując, model właściwego *chefa*, wodza, dyktatora, który Francję jedyny może podnieść na najwyższe szczyty mocarstwowe, o ile to będzie żyd? *ergo* kto? Mandel? Blum? Reinach?

Ostatnią powieść André Maurois: „*Cercle de famille*" przyjęła literacka opinja zagranicy z dużemi honorami i ukłonami. Ten sam wykwint, to samo środowisko, ta sama wydestylowana psychologja, problem pożycia małżeńskiego, po „pani Izabeli", przeprawy uczuciowe pani Denizy (Hollman), ten sam najautentyczniejszy Paryż z 1931, najlepsze towarzystwo, najlepsze manjery, wysubtelizowana dzisiejszość, świetne aforyzmy, djalogi proszące się na scenę.

Nic dziwnego, że pochwał było moc: doskonały francuski Medoc... czy Barsac... czy też, że to szampańskie dwóchsetlecie, więc może Moët & Chandon...

A tu tymczasem na pogodnem niebie taka chmurka niewielka..., która atoli, podpłynąwszy nad Paryż, może przynieść ze sobą burzę nad głową i grom skandalu.

Budapesztański „*Pester Lloyd*" w nr. 24. Czerwiec 1932 wydrukował dwa szkice krótkie André Maurois: „*Kleinigkeiten von Tage*" i „*Wie man stirbt?*" tłumaczone świeżo z francuskiego.

I oto co sie okazuję.

Druga z tych nowelek zdaje się być, nie, jest najdosłowniejszym plagjatem, słowo w słowo z interpunkcją włącznie, z noweli Czechowa, A. P. Czachowa p. t.: „Śmierć czynownika". Tylko rosyjskie miasto zmieniono na Paryż i zlokalizowano. Nadto nazwiska: zamiast Iwana D. Czerwiakowa radca Paul Godeau, zamiast gen. Brizałowa, prezes senatu Hantechaume... Słowo w słowo, zdanie w zdanie.

Odkrył nieporozumienie w „*Prager Presse*" z 11 lipca „P. E.", zdaje się tenże sam Paweł Ettinger, korespodent artystyczny z Moskwy „Wiadomości Luterańskich".

Głos ma teraz oczywiście autor Disraelego i on tylko władcą jest tajemicę rozświetlić, zagadkę rozwiązać. Nie tak dawno odkryto i wykazano plagjat temu Kesselowi („*Machno et sa juive*"). Ale to była afera bagatelna: reporter i pornograf czyli reporternograf.

Całkiem co innego atoli Maurois, mistrz prozy i myśliciel, erudyta wysokiej rangi i umysł naprawdę czarujący, niby to bez cienia dziedzicznego obciążenia rasowego, niby chemicznie wyprany z tego, co Papini widzi w semitach: „szynkowanie rozkładem" *(propinazione)*. A jednak... wybielał d'Izraelego.

Byłoby to bardzo wielkie rozczarowanie, tragiczne rozczarowanie! Zwykły szwindel i szacher na takich wyżynach wysubtelizowanego człowieczeństwa!!

Można sobie teraz wyobrazić zniecierpliwienie i zdenerwowanie licznych gron dyskretnych wielbicieli mr. Andrzeja, czekających na jego słowo decydujące...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Polski projekt „rozbrojenia moralnego" przy pomocy zaostrzenia cenzury prasy, książek, podręczników, widowisk i t. d. nie przypadł jakoś zbytnio do smaku narodom europejskim, bardzo sobie ceniącym wolność słowa i nie lubiącym zbyt szerokiej ingerencji żandarmerji w ich życie duchowe. Zwłaszcza narody anglosaskie nie mogły zgodzić się na projekt naszego rządu, przepojony wiarą entuzjastyczną we wszechpotężną, błogosławioną, odrodzeńczą moc cenzury policyjnej i, jak donosi genewski korespondent P.A.T., po wielomiesięcznych dyskusjach na wnioskiem polskim, które nie dały pozytywnego wyniku, „delegaci angielski i amerykański stworzyli własny projekt protokułu w sprawie rozbrojenia moralnego, który miałby być przekazany jako aneks przyszłej konferencji rozbrojeniowej..."

Mamy więc nowy „sukces" naszej dyplomacji. Z międzynarodowej protekcji pacyfizmu przy pomocy dozoru policyjnego będą, zdaje się, nici. A tak cieszył się na tę protekcję najliberalniejszy, najznakomitszy Europejczyk Nalewek — p. Antoni Słonimski...

*

Dyskusja prasowa na temat rewelacyj „*Revue internationale des Sociétés Sécrètes*" o masonach w Polsce, trwa w dalszym ciągu. Syjonistyczny „Nasz Przegląd" z oburzeniem potępia polską prasę narodową, która „obdziera z czci" takich „patrjotów", jak pp. Askenazy, Mühlstein i inni. Organ syjonistyczny nie określa przytem dokładniej, czy są to właściwie patrjoci polscy, czy żydowscy. Boć jeżeli mają to być Polacy, to czemuż dziennik żydowski walkę z nimi nazywa poprostu... antysemityzmem?

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.